№ 33. Piątek, dnia 14 Maja 1875 roku. Tom I.

# OGNISKO DOMOWE
## Tygodnik

WARSZAWA
dnia 2 (14) Maja
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
" " na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Bielańskiej
Nr 8 nowy.

## SZATAN i ANIOŁ.

Patrz!—tam duch czarny!... gdy na ziemię
[łzawą,
W ogniu błyskawic zwróci wzrok proroczy
I jak sztandarem wionie chustą krwawą;—
Wnet z huraganem wściekła burza kroczy
I gromu wyciem ozwie się szalona....
Oto tłum blady wyciąga ramiona:
Pomocy wzywa!... Gdzież wy duchy brat-
[nie?
Gdzież wy, potężni nowych dziejów gońce?
Krwawej niedoli gdzież krańce ostatnie?
Kiedyż miłości zabłyśnie nam słońce?...
Cisza!... Ty milczysz szatańska potęgo,
Gdy serca bólem syn ziemi cię pyta?..
Tyś dumna, dzika, bo rdzą niespożyta
Siła twa wszędzie... wszędzie nas dosięga!..
Ty milczysz!... Krwawej urągać boleści
Potrafią tylko piekielne oblicza—
O hydro wściekła!—hydro tajemnicza!—
Kiedyż głos prawdy zgon nam twój ob-
[wieści?...
Z skargą na ustach, a pogardą w oku,
O duchu krwawy, ja staję przed tobą!—
Patrzę w pierś twoję ciemną i głęboką
I pytam: —Skąd ty, i gdzie twoje drogi?
Możeś z przeszłości wstał zimnego grobu?
Może cię niebios zesłał wyrok srogi?...
Ktoś ty, ponury szatanie ludzkości?
—Jam *zwiastun grozy*—jam *poseł ciemności!*

* * *

Nad dziejów księgą stoi anioł biały:
W cichej zadumie śpią promienne lica;
Dumny jak młodzian, skromny jak dziewi-
[ca—
Spojrzał ku górze!... Niebiosa zadrżały,
Jasność potężna zaległa nad światem,
I myśli wielkie ożywiły dusze,
I zwolna... zwolna przeszły łez katusze,—
Zabłysła ziemia szczęścia majestatem!
Któż jest ten anioł, co z nieba nam gości?
Któż ten duch biały? . . . . . . . .
. . . . . . . To *poseł miłości!*

**Antoni Pilecki.**

## SŁÓWKO

**o tak zwanych stancyach uczniów, czyli prywatnych pensyonatach.**

Autor niniejszej pogadanki, traktował był już pod tym samym prawie tytułem, w innym czasie i na innem miejscu [1]) o przedmiocie, który dziś bierze pod pióro. Zakres pisma nie pozwala mu poruszonej kwestyi wyprowadzić, jakby rzec można na szersze pole — i przeto, ograniczy się tylko kilkoma doraźnemi uwagami, mogącemi się przydać najbardziej interesowanym, w porze jak obecna *przedwakacyjnej*, gdzie właśnie wielu z rodziców krząta się już około wynalezienia dobrej stancyi dla swoich dzieci.

Otóż, na wstępie, musimy powiedzieć, iż żadna społeczna sprawa, nie jest może tak lekko traktowaną przez nas, jak sprawa tak zwanego *utrzymywania uczniów na stancyi.*

Ktokolwiek, z mieszkających poza miastem gdzie jest rządowa szkoła, znajdował się w potrzebie szukania dla swego dziecka, pomieszczenia na czas całoroczny u osób, ogłaszających się za właścicieli *pensyonatów*,— ten miał łatwą sposobność przekonania się, jak wielu, do rzeczy, o której mowa, jest *powołanych*, jak mało natomiast *wybranych.*

Biedna wdowa po urzędniku, który ją odumarł, pozostawiając z liczną rodziną, — nie chcąc czy też nie mogąc, wymyśleć żadnego innego a więcej odpowiedniego środka do wyżywienia siebie i swoich dziatek, — nie pytając się wcale czy jej siły i zdolności wystarczają na spełnienie sumiennie podejmowanego na się obowiązku—bierze się... do *utrzymywania uczniów.*

Urzędnik spadły z etatu, człowiek, który nieraz, nie zastanawiał był się nawet nigdy, czem jest pedagogia i wychowywanie,—urzędnik taki, mówię, chcąc naprędce, jako tako przynajmniej, zapobiedz zbliżającej się do progu swego nędzy, bierze się... do *utrzymywania uczniów.*

Kupiec zbankrutowany, który wyczerpawszy już wszystkie po kolei sposoby, jakie go mogły powstrzymać od ruiny, przekonał się, że żaden z takowych nic mu nie podoła,—postanawia sobie w piękny poranek... *utrzymywać uczniów.*

Oficer dymisyonowany,—szlachcic zagrodowy, co dla prowadzenia sprawy w sądzie, osiadł na czas dłuższy w mieście,— rzemieślnik, któremu fach jego nie dopisał,— była stręczycielka służących lub guwernantek,— utracyusz, który na fantazye przeszastał był cały majątek,— woźny sądowy lub dependent u adwokata, — właściciel małego domku na Pradze... stróż wreszcie domu na Krakowskiem-Przedmieściu (ten już nie osobiście, a za pośrednictwem kuzyna swego, pisarza *od prowiantu!*)—wszyscy ci panowie i panie, gotowi są w każdej chwili, przy każdej zdarzonej potrzebie, dla poratowania interesów swoich i zaradzenia biedzie... *otworzyć u siebie stancyą uczniów.*

Jednakże — zapytajmy szczerze—czy jest obowiązek, któryby więcej wymagał od człowieka rzeczywistego powołania—któryby wymagał od niego większego liczenia się z sumieniem własnem, z siłami i zdolnościami, jakie tenże posiada—jak obowiązek moralnego kierownictwa, czuwania nad dobrem i przyszłością... hygienicznego wreszcie, odpowiadającego warunkom zdrowia, żywienia—cudzych dzieci?

Zaiste, każdy chyba odpowie, że—nie.

A jednak... czemże innem jest sprawa *utrzymywania uczniów* u siebie, jeśli nie podejmowaniem na barki swoje, wszystkich, wymienionych przez nas dopiero co powyżej, ciężarów?

Czemże jest dla ucznia uczęszczającego do szkoły, dom prywatnej osoby, w której go ojciec jego lub matka umieszcza,—jeśli nie drugą strzechą rodzinną, pod którą tenże wszystko, cokolwiek mu właśni jego dają rodzice, znaleść powinien?

Czy tak jest jednakże? czy zawsze osoby, które otwierają u siebie tak zwane pensyonaty lub też i drobniejsze, na mniejszą skalę urządzone *stancye*, myślą o tem, jak wielki na siebie biorą obowiązek i jak wielkim z ich strony grzechem będzie tegoż obowiązku nie dopełnić? — na to niestety! i z własnego doświadczenia, i z tego, co słyszeć się daje od innych, w żaden sposób nie możemy odpowiedzieć twierdząco.

Nigdzie może—powtarzamy—sprawa *utrzymywania uczniów*, nie jest zbywaną tak pobieżnie, zarówno przez rodziców, powierzających dzieci swoje osobom obcym, jako też i przez te same osoby,—jak u nas. Przyczyną tego małe ogólne wykształcenie społeczeństwa, nieznajomość zupełna praw pedagogii, zaniedbanie tej umiejętności i lekceważenie jej powszechne. W Szwajcaryi, w Niemczech, w Anglii, we Francyi, społeczeństwo na rzecz tę zupełnie inaczej się patrzy. Pedagogia tam

---

[1]) „Wiek" N-ra 190 i 191 r. 1874.

należy do najpierwszych nauk, któremi się człowiek—obywatel, zajmować powinien; jak zakłady naukowe, tak i wszelkie akcesoria, mogące mieć większy lub mniejszy z temiż zakładami związek, muszą być tak urządzone, aby przepisom tejże nauki czynić zadość; społeczeństwo całe przejęte jest zresztą innem zupełnie poczuciem w stosunku do wszystkiego, co stanowi sprawę wychowania. To też i skutki z takiego stanu rzeczy inne.

U nas pod tym względem... Boże zmiłuj się!

Sami znamy ojców, którzy odwożąc syna do szkół, i mając potrzebę, jako zamieszkali na wsi, wyszukania dla niego *stancyi*,—traktowali tę sprawę podobnie, jak gdyby się zajmowali umieszczaniem konia tylko lub powozu swojego, w cudzych rękach.

— Gdzie pan byłeś?—zapytałem raz jednego z takich obywateli. Za czyją radą i z czyją pomocą starałeś się dziecko swoje powierzyć opiece obcej osoby?

— Za czyją radą?—otrzymałem odpowiedź. Pan się tak pyta, jak gdyby pan nie wiedział, że ja żywej duszy nie znam w Warszawie, i że sam w niej tylko po raz piewszy w życiu byłem teraz. To i kogóż—proszę—miałem się radzić? Pochodziłem po cukierniach—wypisałem sobie z piętnaście różnych adresów, które były do gazet i kuryerów podane przez osoby *utrzymujące uczniów*, i z *wypisami* temi puściłem się na miasto, aby chłopcu mojemu odnaleźć *pomieszkanie*. Że na trzeciem zaraz miejscu udało mi się kłopot ten *zbyć z głowy*, to... Pan Bóg mi dopomógł i Jemu za to dziękuję.

— I gdzież to pan umieściłeś chłopca swojego?—pytam.

— A... to u Pani... Bęczkalskiej czy Pęczkalskiej:.. poczekaj pan, zaraz przeczytam, bo zapomniałem—odpowiedział obywatel. Wchodzę do domu—świetnie! Salony, jakby do tańca. Pokoje duże—wysokie—czyste... Fortepian jest... i *wszystkie potrzeby*. Sama pani, dystyngowana bardzo osoba... Widocznie zna język francuski, bo nawet to *r* to tak mówiła, jakby kaszę nieprzełkniętą miała w gardziołku... Uprzejma bardzo przytem i miła. Powiada, że osoby korepetytor jest do każdego przedmiotu—że nauczyciele szkolni dochodzą na lekcye—że metr do muzyki jest osobny—osobny baletnik podobno jakiś do tańca—że...

— Ale, czyś pan to wszystko widział?—przerwałem.

— Jakto, widział? —nie rozumiem pana. Widzieć jeszcze nie mogłem, bom tylko raz był u tej pani. Ale... przecież sądzę....

— I wiele też pan masz płacić tej osobie, za te wszystkie dziwy, o których opowiadasz?—zagabnąłem znowu uszczęśliwionego ojca.

— Trzysta sześćdziesiąt rubli, łaskawy panie... Ale już ze wszystkiem!... z muzyką i z tańcami, z gimnastyką nawet—bo podobno i tej się tam uczą.

— I z gimnastyką nawet? — powtórzyłem z uśmiechem. No a cóż pan potem będziesz mówił na to, gdyby się np. okazało po pewnym czasie, że owymi korepetytorami u pani tej tam A. czy B., osobnymi (jak się wyraziła) do każdego przedmiotu, będzie dwóch uczni z piątej lub szóstej klasy, którym ta pani po złotówce płaci za godzinę? że nauczyciel rządowy jeśli do jakiego tam pensyonarza dochodzi, to dochodzi, na osobne żądanie ojca, któremu zapewne uiszcza oddzielne honoraryum? że ów metr muzyki jest artystą grającym po kawiarniach? a ów baletnik, chórzystą z ogródkowego teatru? Że pani owa wymawia *r* jak paryżanka, dlatego, że ma feler jakiś w szyjce—lub też, że jest prawego pochodzenia... żydówką.

— Żydówką!.. z taką końcówką nazwiska! co też pan gadasz!—odpowiedział.

— Tak, tak, panie!—odrzekłem. Wszystko to być może co mówię. Znam stancye, które lepiej jeszcze przedstawiały się na pierwszy rzut oka—stancye, właściciele których przyrzekali daleko więcej jeszcze ojcom—a które jednakże potem okazały się takiemi jak mówię.

— Byłoby to kiepsko, drogi panie—odparł zachmurzony ten już trochę szlachcic. Nie sądź jednak pan żeby... ten tego...

— Nic pan nie sądź naprzód—odpowiedziałem dorywczo. Nie takie jeszcze dziwy dzieją się w naszej Warszawie.

Ojciec co poszukuje pomieszczenia dla swego dziecka, powinien koniecznie rzecz tę załatwiać za radą jakiegoś kompetentnego człowieka, profesora np. lub też choćby innej, zajmującej się specyalnie wychowaniem dzieci osoby. W razie przeciwnym, nietylko że swej kieszeni może zupełnie zbyteczny przyczynić wydatek, ale nadto, dziecku swojemu, co najgłówniejsza! na całej jego życiowej karyerze, wyrządzić szramę, której nierzadko potem nic nie załata. Zważ pan tylko—mówiłem dalej do słuchającego już z większą uwagą ojca—jak ogromny wpływ na cały charakter pańskiego syna, na jego uzdolnienie naukowe, na całą jego moralną istotę, wywierać musi otoczenie, w którem ten przez rok cały, oddany zupełnie kierunkowi obcych osób, pozostaje. Otóż, niechże to otoczenie złe będzie, niewłaściwe i działające na niego *niemoralnie*. Cóż się stanie wówczas z dziecka... choćby najlepszego?

— No... widzi pan... zasady wpojone w domu...

— Nie wierz pan w zasady wpojone w umysł dziecka! To frazes tylko, i nic więcej! My starzy, a z zasadami swojemi ledwie możemy dojść do ładu—sami nie wiemy często, czy iść na prawo czy na lewo—a pan chcesz, aby dziecko, dlatego, żeś pan je przez lat 12 chował w swoim domu, *miało zasady*! Pierwszy wiatr, co dmuchnie na tak delikatną roślinkę, może pracę całą naszę w jednej chwili w niwecz obrócić! Znam stancyą np., gdzie uczniowie 12 i 13-to letni sypiają w jednym pokoju z córeczkami właścicielki stancyi; znam inną, gdzie sam gospodarz, dymisyonowany stary pułkownik, lubiący sam zapalczywie karty i *maryasza*, ćwiczy się z chłopcami mieszkającymi u niego, po całych wieczorach w *króla* i *damę*; znam inną jeszcze, gdzie uczniom dla rozrywki, urządzają co święto tak zwane *żywe obrazy*, złożone z figur nietylko greckiej ale i *babilońskiej* mytologii!... Dużobym jeszcze mógł panu wymienić podobnych rzeczy. I gdzież tu przy warunkach takich, przy takich pedagogicznych pojęciach właściciela lub właścicielki stancyi, spodziewać się po nich, że będą rozwijać w dziecku pilność, skromność, akuratność i inne cnoty, na których społeczeństwo stoi? gdzież tu oczekiwać, że osoby takie zechcą chodzić do gimnazyów, aby się dowiadywać o stopniach, sprawowaniu i w ogólności całem prowadzeniu się w szkole ucznia? Nie wróżę panu konieczne, abyś pan trafił na taką samę stancyę—ale... gdyby pani owa była jedną z gospodyń, których wzory przedstawiłem panu, nie zdziwiłbym się wcale. Te panie, co *r* nie wymawiają jak trzeba, to jakoś najczęściej należą do tej kategoryi.

Nie będę przytaczał drogim czytelnikom, całej dalszej rozmowy jeszcze mojej, z panem X. Wymieniłem z nią to tylko, cobym słowo w słowo prawie powtórzył, mówiąc do was

## U OGNISKA.

Cieszcie się Warszawianie spragnieni wiosny— nareszcie powitał was maj— miesiąc bzów kwitnących, zieleni, miłosnych piosnek słowika i majówek.— Maj, rozkoszny opiewany przez bardów wszystkich wieków i narodowości, zjawił się w istocie, w szacie jednak wielce zmienionej. Wystąpił przed nami jak skwaszony zalotnik, bez uśmiechu młodości, bez rumieńca i poetyckich uniesień.— Już to od lat wielu niebo jest na nas jakoś zagniewanem. — Wiosny nie znamy wcale, chociaż wszystkie kalendarze zapewniają że poczęła się 22 marca.—Do trzeciego maja jednak nie napotkaliśmy jej nigdzie— ktoś też bardzo słusznie nazwał naszę tegoroczną wiosnę, *łagodną zimą*.— Bądź co bądź, od tygodnia maj przestał majaczyć, i w dozach homeopatycznych udziela nam nieco ciepła i trawy.— Ożywiły się też zaraz oblicza mieszkańców naszego, grodu, szyberynowe palta poszły do szaf, pomimo przepowiedni dra Szofki—o Mamercie Pankracym i dwóch innych szafarzach deszczu jakoś zapomniano, a natomiast Warszawianie zaczęli przygotowywać się żarliwie, do pozamiejskich wycieczek, vulgo majówek i marzyć o przenoszeniu się na letnie pomieszkania. — Z temi letniemi pomieszkaniami powtarza się zawsze u nas stara historya. —Nie zrażeni tysiącem zawodów, poszukujemy tych oaz z godną podziwu wytrwałością, i wracamy zawsze nie zbyt zadowoleni z przyjemności zamiejskich. A propos tych przyjemności, bierze mnie pokusa zapoznać Cię miły czytelniku z jednym ich rapsodem poetyckim, nigdzie przynajmniej dotąd niedrukowanym, nie mającym w prawdzie pretensyi do nieśmiertelności, lecz z drugiej strony obrazującym wiernie rozkosze letnich owych willi. Owóż i ta sielanka:

„Dla zdrowia, świeżego powietrza, zieleni,
Mleczywa, i wiązki słonecznych promieni,
Na prośby małżonki— co odpuść jej Panie,
Przeniosłem się w maju na letnie mieszkanie.
Wybór padł na Sielce, a z ważnych pobudek,
Wszak miałem dwie izby—prześliczny ogródek
I łączkę—dla dziatwy uciechę na trawie,
Za wszystko sto rubli— toż darmo jest prawie
Niestety! olśniony wdziękami natury,
Wzrok jakoś nie dojrzał—że w dachu są dziury
Że ściany przejęte wilgocią w alkowie,
Że pułap się wali, przegniły w połowie.
Ten z kwiecia barwnego kobierzec utkany,
Zielona murawa, rozkwitłe bzy, łany,
I nieba z za okien błękitne wykroje,
Czarami zachwytu osnuły myśl moję.
Mniemałem, że w ustroń uroczą się wnoszę,
Że znajdę tam same słodycze— rozkosze.
O losie okrutny!... tej nocy deszczowej,
Co wśród snu, rzuciła nam wodę na głowy,
Przez pułap dziurawy—zapomnieć nie sposób,
Prysznica użyło naówczas sześć osób;
Dalejże, znoś konwie, wanienki kto może,
Bo woda napływa i cieknie w prost w łoże!
Sąd Boży — w alkowie ochrzypły już gardła
A w sali dwa okna wichura wydarła!
Lecz nie tu kres nieszczęść — w Sielcach są [mokradła,
Wilgoci do syta— choroba się wkradła
Nie żartem—potrzeba sprowadzać doktora
Z Warszawy—toż cała rodzina jest chora.—
Małżonka z umartwień dostała żółtaczki,
Febra się rzuciła na córki—chłopaczki,
Od pluskiew, komarów, co wgryzły się w ciało
Liczyli plam, bąbli, opuchnień nie mało.
Doktory, apteka, dorożki—koszt duży,
Toż widząc, że wiejska ta ustroń nie służy,

i do każdego, komuby dobro dziecka jego, leżało istotnie jak panu X. na sercu, (boć to był dobry w rezultacie ojciec!) Tak jest—wielką trzeba zachować ostrożność, wielką baczność, w sprawie, gdzie syna swojego lub córkę powierzamy kierunkowi obcych osób. W Warszawie, i w ogólności w tych miastach, w których szkoła nie ma żadnego dozoru nad prywatnemi stancyami, gdzie ten dozór, gdyby i przepisami szkolnemi był nawet objęty, nie może być wykonywanym w całej należnej ścisłości,—ostrożność taka osobliwie jest niezbędną.

Dawniej, (a miało to miejsce po prowincyonalnych miastach), nauczyciele szkolni, odbywali po mieszkaniach uczniów swoich, tak zwane *dyżury*; nauczyciel zwiedzający stancye, doglądał przynajmniej od czasu do czasu, czy uczniowie jego prowadzą się jak trzeba, czy stancya także warunkom pedagogicznym czyni zadość, i uwagi swoje podając następnie szkole, a inne zapisując w znajdującej się umyślnie na ten cel na każdej stancyi książeczce, umożliwiał tym sposobem choć w części kontrolę władzy naukowej nad *stancyami*. O ile ten środek, dziś jeszcze ma swoje zastosowanie na prowincyi, i czy je ma? — nie umiemy na to odpowiedzieć w każdym razie to wiemy, że w Warszawie stancye osób prywatnych nie podlegają żadnemu ściśle określonemu dozorowi, że w naszym grodzie szkoła wcale się o kompetencyą tych osób do pełnienia przez nie pedagogicznych obowiązków nie pyta—i jak teraz, oprócz książeczek, w które t. z. klas gospodarze, uwagi swoje co do ucznia, zapisywać są obowiązani, w celu, aby je w domu odczytywali opiekunowie,—żadnego zresztą wspólnego nie ma porozumienia pomiędzy szkołą a mieszkaniami uczniów.

Sądzimy, że osoby, chcące utrzymywać młodzież, powinny tak samo do tego nabywać potrzebnej naukowej i pedagogicznej kwalifikacyi, z kwalifikacyi tej tak samo zdawać sprawę przed jakąś, umyślnie na cel ten urządzoną, po obywatelsku pojętą i z zacnych ludzi złożoną instancyą,—jak wszyscy inni, którzy chcą w najważniejszych jego interesach, służyć społeczeństwu.

Mówimy — w *najważniejszych*... bo może być istotnie coś ważniejszego, nad wszelką sprawę tyczącą się dobra naszych dzieci?

Mielibyśmy też właśnie teraz chęć wielką, pogawędzić jeszcze z czytelnikami o sposobie urządzenia tego dozoru nad *stancyami*, którego konieczność przedstawiliśmy im powyżej. Lecz rzecz tę, z powodu braku miejsca, musimy już do innej odłożyć pogadanki.

Na dziś zatem, kończymy tylko przez *postscriptum*, iż zacny mój obywatel, pan X., po pierwszym zaraz kwartale pozostawienia syna u pani B. czy P., przekonał się, że wróżby moje nie były wcale przesadzonemi.

Wyprowadźcie sobie z tego wniosek, już sami.

*Teofil Tarcza.*

## Z NAUK PRZYRODNICZYCH.

### Strategika wojenna owadów.

(Dalszy ciąg)

Zjawiska mimetyzmu. — Przemyślna Woskóweczka i inni goście ulów pszczolnych.—Zatargi między gospodarzami i lokatorami.—Wygodne życie Sykofanty. —Przyroda szafarką zbytku i nędzy.—Owady towarzyskie.—Wiedza przyrodnicza i niedowiarstwo.—Budownictwo i ustrój społeczny termitów.—Nowożytni Spartanie.

Nie wszystkie przecież gatunki owadów znajdują takie przyjemnosci w konkurach miłosnych, po większej części jestestwa te używają podstępu i siły jedynie do staczania boju ze współzalotnikami, lub z napastującemi je wrogami należącemi do innych rodzin.

Z naturalnego stanu rzeczy wypływa, że owady uwijające się po drogach, daleko więcej są wystawione na niebezpieczeństwo utraty życia w tej walce o istnienie, niż gatunki pozostające w ukryciu.

Pająk południowej Europy, tak zwany *Zdunek* (Cteniza caementaria) zamieszkuje podziemną jaskinię, zaopatrzoną w rodzaj bramy. Z poza tych drzwi wpół uchylonych, zdunek czatuje na przebiegające owady. Jeżeli który z nich zbliży się nieostrożnie, zbójca ów rzuca się nań bezwłocznie. Zdarza się przecież niekiedy, że napadnięty broni się dzielnie, i zmusza napastnika do odwrotu. Zdunek wówczas, podobnie jak bandyta w obec silniejszego przeciwnika, cofa się do jaskini i zapiera za sobą bramę, którą całem ciałem przytrzymuje, aby wzbronić nieprzyjacielowi wstępu do swego pomieszkania.

Nie każde wszakże jestestwo, posiada taką jak zdunek fortecę, po większej też części, rycerze skrzydlaci w razie niepowodzenia w boju, muszą szukać ocalenia w broni w jaką ich zaopatrzyła natura.

Szczypawka przyparta przez nieprzyjaciela obrzuca go płynem palącym, odrażającej woni. Bombardyer w razie napaści daje ognia—broń jego wprawdzie stanowi tylko proch, a chociaż ten owad nie wymyśli dzielniejszego pocisku, nie udoskonali swej artyleryi, to przecież proch jego niemniej zapewnia mu bezpieczeństwo w walce życiowej.

Dawni rycerze występując do boju, osłaniali się od stóp do głów żelazem. Przyodziani w ten sposób, podobni byli całkiem do tych poczwarek, których ciało miękkie i wątłe osłania prawdziwy pancerz, dozwalający wychylać się zaledwie ich głowie i nogom.

W rzeczy samej, różnicę tu stanowi tylko materyał i sztuka wprowadzająca go w użycie. Owady nie mogą użytkować z metalów, korzystają z materyi, jakie im przyroda oddaje na usługi. Przypatrując się w dniu letnim brzegom wód, dostrzeglibyśmy małe ciałka podłużne, brunatne, poruszające się tu i owdzie, które zrazu poczytalibyśmy za kawałki drzewa.

Wkrótce wszakże rozpoznajemy, że są to owady przyodziane w pokrowce jedwabiste, wyrobione ze szczątków roślin, muszelek i piasku. Pod taką postacią przedstawiają się nam *Chróściki* (Phryganea), w pierwszej fazie swego życia.

Poczwarki *Tarczówki* (Cassida equestris), spędzające życie na liściach roślin, byłyby zbyt wystawione na żarłoczność ptaków, gdyby nie osłaniały swego ciała miazgą zielonawą, w jaką się zaopatrują z łatwością, i gromadzą na swym grzbiecie, zamiast ją odrzucać jak to czynią inne zwierzęta. Wyznajemy, że ten sposób obrony, nie należy wcale do wymyślnych, gdybyśmy jednak czynili poszukiwania w południowej Afryce, znaleźlibyśmy zwierzęta wyższego rzędu, którym podobna odzież zastępuje ekonomicznie atłas i aksamit.

Owady dwuskrzydłe (Diptera), zadają sobie jeszcze mniej trudu. Rzucają się one po prostu w kałużę, a gdy błoto oschnie na powierzchni ich ciała, służy im za przyodziewkę zabezpieczającą od wzroku nieprzyjaciela.—Podobnie postępują niektóre ludy Brazylii, chcąc uchronić się od ukąszeń mustyków.

Wypada nam przejść teraz do innego rodza-

---

Że z każdą godziną wydatek przyrasta,
Po czterech tygodniach—wróciłem do miasta".

Iluż to niefortunnych tego rodzaju ojców moglibyśmy naliczyć w naszem mieście. Mieszkania letnie posiadają zasłużoną reputacyą—wsławiły się tysiącem niewygód i drożyzną, a jednak gotowi jesteśmy zawsze, wierzyć obietnicom polepszeń w ich urządzeniu. Co do mnie, wyznaję ze szczerotą, że jestem niedowiarkiem, i przepowiadam z góry Warszawianom, że grubo zapłacą za *czyste powietrze*, jakie przyrządza się dla nich w Rudzie Guzowskiej. Qui vivra-verra!

Wszelkiego gatunku kunsztmistrze, hecarze, linoskoki i czarodzieje, napływają do nas z obczyzny, dla uprzyjemnienia chwil miastu, przesyconemu w lecie powietrzem dusznem, miazmatycznem, i trapionemu upałami. Zaledwie pożegnał nas wiekopomnej pamięci Gassner, a w jak rozczulający sposób, nie potrzebuję ci przypominać czytelniku, a już zjechał Salamoński z nieporównanym swym cyrkiem.—Ruchwaldi magik, optyk, magnetyzer, muzyk i orkiestra Flige'go, złożona z trzydziestu osób, która już grywa w dolinie Szwajcarskiej. Czyż to nie dowodzi niepospolitej uprzejmości dla nas cudzoziemców? Czyż nie rozrzewnia ciebie czytelniku, głęboka ich wiara w gotowość naszę do wspierania szlachetnej sztuki, choćby ta zasadzała się na gimnastycznych łamańcach? Powódź zabaw zalewa corocznie Warszawian widocznie niemi uszczęśliwionych.—Ba, niewiele człowiekowi do szczęścia potrzeba. — Niedawno przecież psy dawały u nas koncerty, z powszechnem zadowoleniem.—Gdy chodziło o złożenie datku na stypendyum Kopernika, zamknęły się hermetycznie mieszki bankierów warszawskich i potęg arystokratycznych. Fundusz zebrany powstał po większej części ze składek ludzi, wielce średniej zamożności—ze złotówek. Ale cyrk zawsze u nas pełny, jakież bo w nim wytresowane amazonki—przepraszam, chciałem powiedzieć konie, i ugrzecznione woltyżerki. Cóż dziwnego, że w uznaniu ich talentów, nasza złota młodzież ucztuje wśród grona tych dziewic przeczystych, do ranka w hotelu Europejskim, gdzie pieni się szampan, skrzą miłosne spojrzenia, wypróżniają się butelki i... pugilaresy. Na to wszystko u nas są pieniądze—ale ich niema gdy chodzi o składkę na pożyteczną instytucyą. I tak, zawiązało się towarzystwo, którego celem jest założenie ogrodu zoologicznego w naszem mieście.—Na czele komitetu figurują profesorowie: Taczanowski, Aleksandrowicz, pp. Benni, Majewski, Wrotnowski, Małkowski, Baumgarten i Brüningk. Chcąc zostać członkiem towarzystwa, potrzeba złożyć 100 rs.—składka roczna od uczestników wynosi rsr. 6, spłacanych w 2 półrocznych połowicznych ratach. Kuryer Codzienny przyjmuje ofiary na zakup okazów, które mają być zawiązkiem ogrodu zoologicznego—lecz jakże te ofiary są drobne i nieliczne! Pan Barthels z prawdziwem miłośnictwem zebrał wiele okazów żywych, jakie każdy może obejrzeć w posesyi oznaczonej numerem 17 przy ulicy Hożej, i z tych przedewszystkiem towarzystwo korzystać zamierza.—Tymczasem składki nie płyną tak, jakby życzyć należało, ze względu na użyteczność tego nowego dla miasta zakładu. A jednak tą drogą powstały podobne zwierzyńce za granicą. Ogród zoologiczny w Berlinie ściąga tłumy ciekawych—za małą opłatą każdy tam może oglądać te istne cuda.—Wieczorem cały ogród błyszczy czarownem światłem, przy blasku którego całość przedstawia się fantastycznie i malowniczo.

Zwiedziłem kolekcyą pana Barthelsa, widziałem jego okazałe niedźwiedzie, wilki, lisy,

ju strategiki. Niektóre żuki tęgopokrywe, używają osobliwszego podstępu w celu uniknienia napaści. Za najmniejszem dotknięciem, a nawet za dostrzeżeniem wypatrującego je oka nieprzyjacielskiego, kurczą nogi i udają martwotę najzupełniejszą. Jakiej myśli przypisać należy to ich postępowanie? Instynkt przecież doradzałby im tylko ucieczkę lub opór. Tymczasem narażając się na ciosy, nie przejawiają najmniejszego ruchu. Czy to przestrach tak je paraliżuje? Czy je do tego zniewala świadomość wewnętrzna, że w tym stanie śmierć obrazującym, nieprzyjaciel wzgardzi ich ciałem, małą wartość przedstawiającem dla jego żołądka? Ha, być też może, owady te spodziewają się uniknąć wzroku napastnika zachowując nieruchomość, nie pozwalającą ich odróżnić od innych przedmiotów, obok nich istniejących. Bądź co bądź strategika, ta ma niezawodnie pewne znaczenie psychiczne, gdyż bardzo wiele owadów jej używa.

Kąsawce (Staphylinus) wybierają całkiem przeciwną taktykę i wobec nieprzyjaciela przyjmują postawę srogą.

Wiadomo nam, że kot napastowany przez dużego psa, wypręża nagle nogi, zaokrągla grzbiet, zjeża włos na skórze, i nadaje całej swej fizyognomii wygląd najgroźniejszy. Widocznie kot wie dobrze, jaką jest potęgą nastroszenie się, odstraszające wroga. Kąsawce naśladują kotów. Za dotknięciem, prostują się, wznoszą ogon w górę, i przybierają postawę niedźwiadków, chociaż są to jestestwa wcale nie szkodliwe. Nie ma żadnej wątpliwości, że często to ich srożyzna ocala im życie. Dzieciak schwytawszy kąsawca, sądząc że ten jest uzbrojony kolcem, nieraz cofa się przed jego groźną postawą i porzuca więźnia. W podobnych warunkach niektóre gatunki gąsienic, używają również podstępu. Za podrażnieniem wyłuszczają rożek mięsisty, czerwony, ukryty w tyle głowy pod skórą, i wydający silną woń kopru.

Z rodziny złotków (Chrysomelina), Topolówka (Chrysomela populi), posiada na grzbiecie bąble, zaopatrzone w rurki komunikujące z małemi podskórnemi pęcherzykami. Za najmniejszem dotknięciem, z każdej z tych rurek wypływa kropla płynu mlecznego, cechującego się nieznośnym zapachem kwasu pruskiego. Nie jest to już żadną demonstracyą, lecz przedziwną obroną, groźną nie na żarty. Dla tago też poczwarki topolówki, żyją niczem nie osłonięte na liściach, nie obawiając się ptaków, z któremi walczą otwarcie. Z wydzielin jadowitych owady te użytkują bardzo oszczędnie—po minionem niebezpieczeństwie, płyn wciągają znowu w ciało, dopóki nie nastręczy się nowa sposobność jego użycia.

Mnóstwo drobnych zwierzątek, aby uniknąć wzroku nieprzyjaciół, korzysta ze struktury i barwy swego ciała. Niektóre gąsiennice podobne są tak dalece z postaci do kawałków drzewa, że spoczywają swobodnie na gałęziach i niepodobna odróżnić je od rośliny najbystrzejszemu oku. Inne znowu owady przebywają na pniach drzew, a barwa ich naśladuje do złudzenia chropowatość kory i popielaty jej kolor. Wallace opisując łowy Malajczyków, przytacza, że często widywał gatunek motyla, krążącego około pewnych krzewów we wnętrzu których owad nagle znikał i nie można było wynaleźć miejsca gdzie spoczął. Po usilnych dopiero poszukiwaniach naturalista ten wykrył, że powyższe motyle siadając na gałęziach krzewu, zwijają swe skrzydła w ten sposób, że te przyjmują wygląd liści, z któremi tworzą jakby nierozdzielną całość.

Podobna strategika owadów opiera się zatem na korzystaniu ich z ubarwienia i kształtu, jakiemi ich obdarzyła przyroda. To upodobnienie jestestw z ośrodkiem w którym przebywają, nazwali przyrodnicy *Mimetyzmem*.

Owady słabsze, wątlejsze, nie przejawiające charakteru rozbójniczego, spędzają życie spokojnie na roślinach którerni się żywią. Nie idzie przecież zatem, aby każde jestestwo słabe stroniło od niebezpieczeństwa—przeciwnie zdarza się często, że niektóre gatunki uganiają się prawie za niem posuwając odwagę do zuchwalstwa. Do tego rodzaju należy *woskóweczka* (Galleria cerella) żyjąca w ulach pszczolnych i tocząca plastry wosku. Żyć w pośród istot niegościnnych, złośliwych, niedelikatnych, jest zaiste śmiałością niepospolitą. Woskóweczka też używa wszelkich możebnych ostrożności, wybierając za miejsce pobytu mieszkanie tych owadów błonkoskrzydłych. Ostrożność jest koniecznym warunkiem jej istnienia gdyż nietylko karmi się w wosku lokal, ale nadto karmi się nim, niepytając o pozwolenie fabrykantów tego produktu. W tym celu woskóweczka po wylężeniu się z jajka przyrządza sobie bezwłocznie z materyi woskowej, rurkę cylindrową którą wewnątrz wykłada jedwabistą mocną pilśnią. Rurka ta przytwierdzona do komórki woskowej, lub brzeżnej ściany ula, nie jest zrazu większą od nitki jedwabnej. W miarę jednak jak gąsiennica rośnie, rurka przedłuża się i rozszerza pozwalając tem samem jestestwu we wnętrzu jej ukrytemu, poruszać się z łatwością, niewystępując przecież nigdy poza granicę tego rurkowatego pomieszkania.

Nie sama tylko zresztą woskóweczka jest współbiesiadnikiem stołu pszczół te bowiem równie jak osy, mrówki i termity, mają zawsze licznych choć nieproszonych gości, których znoszą raczej z przymusu niż z grzeczności. Z pośród tych lokatorów ulnych, jedni poprzestają na okruchach kuchni—inni pełnią bardzo użyteczną służbę, uwalniając swych gospodarzy od nieczystości gromadzących się nieuchronnie wskutek wspólnego pożycia takiego mnóstwa osobników. Inne jeszcze jestestwa pozostają w ulu pszczolnym, pełniąc w nim obowiązki naszych zwierząt domowych. Zapewne w tak licznie zamieszkałym domu, zdarzają się jak i na naszym bożym świecie, zatargi między gospodarzami a lokatorami—w każdym jednak razie swary te nigdy niedoprowadzają do zupełnego zerwania dobrych stosunków, łączących to towarzystwo różnorodne.

Nierównie łatwiejszem jest życie *Sykofanty* (Calosoma sycophanta), niszczycielki gąsiennic. Prześliczna ta szczypawka, ma piękny szafirowy gorset, złocisto-zielone pokrywy skrzydłowe, mocny pancerz i potężne szczęki. Przebywa ona w gniazdach szkodliwej nam wielce ćmy (Bombyx processionea) i mnóstwo tych prządek pożera. Sykofanta żyje sobie wygodnie, z pewnym nawet komfortem—nigdy też nie uczuwa głodu. Jedyną jej troską a raczej zajęciem, jest trawić pokarmy gotowe dla niej w każdej chwili.

Widzimy stąd, że wśród owadów podobnie jak wśród ludzi, warunki w których upływa ich życie są bardzo rozmaite. Jedne jestestwa żyją na łonie zbytku, bez troski, w próżniactwie, dzięki przewidującej troskliwości ich rodziców — inne znów nieszczęśliwie wydziedziczone, znają tylko życie zatrute goryczą, pełne walk.—Dla nich każdy dzień upływa w nędzy i w niepewności o jutro.

Przebiegaliśmy dotąd rozmaite rodzaje strategiki wojennej owadów, a pod tym względem przedstawiły się nam one przynajmniej równemi, jeżeli nie wyższemi od zwierząt dosko nalszego ustroju. Rozpatrywaliśmy pole ich działalności indywidualnej—pozostaje nam jeszcze określić siłę ich stowarzyszeń, siłę daleko groźniejszą i potężniejszą, od cechującej zwie-

---

i inne zwierzęta mniej lub więcej pokaźne, i wnoszę, że wartoby coś zrobić dla pozyskania tego nabytku, wielce dla nas pożądanego. Tymczasem sprawa ta wlecze się żółwim krokiem, chociaż pewne zyski członkom mogłaby zapewniać. Zwierzyniec mą być urządzonym na Pradze, jeżeli zbierze się fundusz dostateczny, nie dochodzący zresztą podobno 2,000 rs. —Wartoby, aby Warszawianie wyrzucający nieoględnie grosz na pajaców cyrkowych, psy wyjące, rupiecie muzeowe, na magików i szarlatanów wszelkiego pokroju, pomyśleli też o korzyści trwalszej dla miasta.

Jak słychać w tym jeszcze miesiącu, mają rozpocząć się przedstawienia w teatrzykach ogródkowych—oby tylko w repertoarze, sztuk nie przyszło nam spotkać się z *Młynem dyabelskim*, *Ralfem*, *Rinaldinim* i całą kolekcyą utworów schorzałej wyobraźni, jak to miało miejsce w roku ubiegłym. Nawet gawiedzi sprzykrzyć się powinny te sceny cudackie zapełnione okropnościami. Ciekawy wielce byłbym, czy w kontraktach zawieranych z właścicielami owych ogródków powtórzy się w roku bieżącym zastrzeżenie co do długości antraktów. Bufetom naturalnie chodzi o to, aby jak najwięcej skonsumowano buterszniitów i porcyi, i w odpowiednim stosunku kufli bawara—a publiczność nie łaknąca butersznitów i piwa, musi, rzecz prosta, oczekiwać cierpliwie na to zaspokojenie wymagań kilkuset żołądków. W teatrzykach zatem pierwsze miejsce zajmuje sztuka kulinarna, a drugie i to dość podrzędne sztuka dramatyczna.— Okazywałoby to, że ciało góruje nad duchem nawet w przybytkach poświęconych muzom.

W ostatnich czasach, reżyserya teatru obdarzyła nas kilkoma nowościami. Przedstawiono na naszej scenie „Wita Stwosza,“ „Filibertę“, „Pocztyliona z Longjumeau“ i „Flisaków“, a więc dramat, komedyę, operę, i obrazek ludowy. Wit wyszedł cało, prawie zwycięzko z ogniowej próby na scenie i gorszej stokroć przeprawy przez łamy krytyki gazeciarskiej.— Filibertę, pomimo ogromnego błędu w psychicznem narysowaniu przez autora tej postaci, powitały oklaski, z których połowa należy się słusznie utalentowanemu tłómaczowi.— Pocztylion się podobał, chociaż niekoniecznie pożądane zmiany poczyniono w temacie i w partycyi.— Flisacy Anczyca, budziły żywe zajęcie widzów. Już to autor jest niepokrównanym w rysowaniu typów ludowych—jego Wojtek łączy w sobie rubaszność z dowcipem iście rodzimym, naiwność z liryzmem.—Chciwy lichwiarz, Chaim, arendarz, hałatowy przehera i Adelsztejn, spekulant, co już zerwał jarmułkę z głowy, lecz nie wyrzucił z duszy chwastu, jakież to wyborne figury, przeniesione jakby żywcem ze świata rzeczywistości na scenę. — Anczyc fotografuje nam zawsze przedziwnie żywioł wiejski, każdy jego obrazek drga prawdą i życiem. Żądać od Bartków i Maćków salonowości, jak to uczynił pewien krytyk, zarzucający temu utworowi brak artyzmu, jest to nie znać warunków sztuki, nie czuć ciepła ożywiającego piersi wieśniaka. — Damse, jak zawsze, był przedziwnym w odtworzeniu typu żydowskiego, — panie: Micińska i Leszczyńska, dowiodły że umieją pojmować zadania roli, a pp. Szober i Kruszewski przyczynili się niemniej do złożenia całości, w której żaden ton nie był fałszywym. Dodać winienem, że debiut p. Witolda Aleksandrowicza, barytonisty *w Trubadurze*, był dość szczęśliwym.—Z takim zasobem talentu, można przy pracy wiele zrobić.

Na scenie krakowskiej odegrano dwie komedye, uwieńczone na tegorocznym konkursie: *Kupno i sprzedaż*, Zacharyasiewicza, i *Niewinni*, Okońskiego. Pisma grodu Jagiel-

rzęta najsroższe, najdrapieżniejsze. Człowiek zwyciężający nieraz lwa i tygrysa, doznaje często porażki, występując przeciw armiom tych jestestw lichych a jednak dokuczliwych, zuchwałych i nieustraszonych. Używa on w tym razie środków najpotężniejszych, jakiemi rozporzadzać może, a pomimo to niezawsze przy nim pozostaje zwycięztwo.

(*D. c. n.*)

---

# ETAPY SUCHOTNICZE.

## Listy z podróży Kazimierza Z.

## (rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Przed kościołem nareszcie wznoszą się trzy maszty cedrowe, na których dawniej powiewały flagi trzech królestw, nad któremi rzeczpospolita panowała. Jako właściwe akcessoria kościoła, policzyć jeszcze wypada kolumny na Piazzecie, campanillę i wieżę z zegarem.

Dwie kolumny granitowe, trochę wyższe od naszej Zygmuntowskiej, sprowadzone zostały z Konstantynopola przez Dożę Sebastyana Ziani w końcu XII wieku i odrazu wzniósł je na Piazzecie tak jak dziś stoją architekt Mikołaj Barattiero. Na jednym z tych granitów wznosi się posąg Ś-go Teodora drugiego patrona Wenecyi; na drugim dwuskrzydły lew Ś-go Marka, strzeże całości rzeczypospolitej. I ten lew także miał przyjemność odbyć przejażdżkę do Paryża i figurować na pałacu Inwalidów.

W ogóle wszystko prawie co północne Włochy miały najciekawszego, lub najznakomitszego z dzieł sztuki, to wszystko mówię przyjaciele i protektorzy francuscy, postarali się zrabować i usunąć. Większa część łupu wróciła na swoje miejsce, ale ile rzeczy zginęło, ile zamieniono w drodze, to Bóg jeden wiedzieć raczy. Między temi dwiema kolumnami odbywały się zwykle egzekucye i stąd powstało przysłowie weneckie: Garda te dell „entre columni" strzeż się kolumn.

Companilla (dzwonnica) mniej ozdobna jak Pizańska lub Florencka, przenosi je jednak o wiele wysokością, gdyż ma 304 stóp. Na wierzchu mieści się anioł, który jakkolwiek z dołu wydaje się maleńkim, ma jednak 16 stóp wysokości. Budowa tego gmachu nadzwyczaj oryginalna, gdyż właściwie są to dwie wieże, jedna w drugiej łączące się dopiero o 260 stóp po nad ziemią. Odległość sześciostopowa ścian jednej wieży od drugiej, obróconą została na schody, nadzwyczaj łagodnego spadku, tak, że jak utrzymują jedni, Napoleon I-szy, a drudzy, lord Byron miał na nie wjechać konno. Cały ten budynek wzniesiony został r. 1131, a wykończony w r. 1178, gdy jednak część jego w XVI wieku runęła, na nowo go odrestaurował i do dzisiejszego stanu doprowadził budowniczy Mestro Buono.

Co do wieży z zegarem, to ta odznacza się ornamentacyą pilastrów na trzech piętrach. Na pierwszem piętrze znajduje się tablica zegarowa, do której dodano tablicę ruchomą do oznaczenia minut, która też co pięć minut się zmienia. Na drugiem piętrze znajduje się metalowy posąg Madonny w niszy, słusznie ceniony utwór, jeśli się nie mylę Sansovina. Z dwóch stron niszy znajdują się drzwi; w święta uroczyste z jednych z tych drzwi wychodzi anioł zmartwychwstania, prowadząc orszak trzech królów—przechodzi przed Matką Boską, której składa ukłon wraz z królami i znika we drzwiach z drugiej strony niszy. Na najwyższem piętrze nareszcie znajduje się dzwon, na którym młotami wydzwaniają godzinę dwaj Maurowie. Niektórzy opisujący Wenecyą, nazywają te figury cyklopami czy wulkanami, lecz jest to nazwa fałszywa, bo naprzód lud ich nazywa „I Mori", a potem dosyć ich obejrzeć, aby sprawdzić, że nic wspólnego z cyklopami nie mają. Wieża ta wzniesioną została w roku 1496 przez budowniczego Piotra Lombardo.

Przechodzę teraz do najciekawszego bez zaprzeczenia, tak na zewnątrz jak i wewnątrz, gmachu Wenecyi, do pałacu dożów. Jest to dziwaczna mięszanina stylu maurytańskiego z gotyckim — ciężkich masywnych sklepień, z koronkowym haftem najmisterniejszej roboty. Gmach zbudowany na gruzach innego pałacu jeszcze z X wieku ma trzy fronty: jeden na plac Ś-go Marka, drugi na Piazzetę, a trzeci na kanał bez nazwy. Opisać tego budynku niepodobna, tyle tam kombinacyi stylu, portyków, filarów i ozdób; największy jednak efekt robią wstawione symetrycznie w mur, kawałki białego i czerwonego marmuru, arkady dolne, wielki krużganek naokoło i ostrosłupowa ornamentacya dachu, a przytem ogrom samego budynku, wzniesionego w r. 1359 według planu i pod kierunkiem Filipo Calendorio, który został ścięty w skutek spisku Marina Faliero (1357 r.).—Ponieważ nazwisko sławnego z nieszczęść Doży nasunęło mi się pod pióro, muszę wspomnieć czytelnikom o historyi tej osobistości tak różnorodnie przez badaczy ocenianej, tem więcej, że jest to przedmiot, który posłużył za treść wielu dramatów i za libretto do znakomitej opery Domizettego. Przewodnik zwykle pokazuje dwie pamiątki po Falierze. Jedną jest jego portret w sali wielkiej rady między portretami wszystkich dożów, zamalowany na czarno z napisem: „Hic est locus Marini Falieri decapitati pro criminibus",—drugą: miejsce na schodach olbrzymów, na którem jakoby miał być ścięty. Niestety, ta mała zachodzi tu pomyłka, że schody te zbudował Bregno w 150 lat po śmierci Faliera. A teraz przejdźmy do historyi.

Marino Faliero wybranym został dożą podczas strasznej walki dwóch rzeczypospolitych genueńskiej z wenecką. Podczas wyborów znajdował się on w Awinionie, w poselstwie do Ojca świętego i liczył już lat osiemdziesiąt. Natychmiast wysłano 12 patrycyuszów weneckich, aby nowego dożę o jego godności zawiadomili i przywieźli do kraju. Gęsta mgła panująca w dniu powrotu tej wyprawy, na morzu (6 października 1354) nie dozwoliła okrętowi przypłynąć do samej Wenecyi, tak, że Faliero w zwyczajnej gondoli zajechał do miasta i wylądował na Piazzecie między dwoma kolumnami, co od razu za zły znak poczytywano i bardziej jeszcze może utrwaliło użycie przysłowia, o którem wyżej wspomniałem. Nowy doża był usposobienia nadzwyczaj burzliwego, złośliwego i mściwego, tak go przynajmniej opisuje najgruntowniejszy z jego historyków Marino Sanuto. Otóż kiedy w tłusty czwartek, po walce byków, Marino Faliero wyprawiał zwyczejem innych dożów, bal dla całej szlachty weneckiej, w pałacu książęcym, młody i ubogi szlachetka Michał Steno, wcisnął się w tłum zaproszonych, aby się zobaczyć z jedną z dam ze świty księżnej, w której się kochał oddawna. Niewiadomo dobrze, w czem jego zachowanie się było nieprzyzwoite, dość, że doszło do skandalu i Marino Faliero kazał go za drzwi wyrzucić. Znieważony w ten sposób publicznie młodzieniec, postanowił się zemścić, jakoż dostał się potajemnie do pokoju Faliera, i tam na tronie książęcym napisał paszkwil na żonę doży, który jedynie w oryginale ośmielam się przytoczyć

---

lońskiego, przyznają pierwszej piękny język w zręcznie przeprowadzonym dyalogu, wytykając przytem pewne usterki w akcyi, które zresztą powinny być usprawiedliwione pierwszym występem na tem polu naszego powieściopisarza. Natomiast dzienniki krakowskie wynoszą pod niebiosy niepospolity talent dramatyczny autora, zamaskowanego pod pseudonimem Okońskiego. Głębokość myśli, żywy dowcip, lekki dyalog, mistrzowstwo w rozwijaniu akcyi, wszystko to ma tam się mieścić. Publiczność przyjęła sztukę frenetycznym oklaskiem. Autor p. ...... cóż znowu, omal nie zdradziłem tajemnicy—a więc autor, podobno główny filar jednego wielce u nas wojowniczego pisemka — cóż u licha, jakaż z mej strony niedyskretność— no jednem słowem, autor *Niewinnych*, rozwinął myśl przewodnią w tej komedyi wielce *niewinną*.—Człowiek, według tej nowo-wschodzącej gwiazdy, co ma zabłysnąć obok Fredry—człowiek *nie ma wolnej woli*—czynności jego zależne są od fatum, od odruchów mózgowych. — Jaka to szkoda, że ta prawda nieocenionej wartości, nie została wcześniej wygłoszoną światu! Po co więzić, karać, prześladować mamy kryminalistów?—toż to ludzie całkiem *niewinni*.—Otwórzmy drzwi więzień na rozcież, wszakże autor *Niewinnych* z budującą moralnością przekonywa, że to są pokrzywdzone przez ogół ofiary. Brawo! do czego to u nas prowadzi samodzielność myśli i tendencye.

Artyści u nas nie drzemią—najjawniejszem tego świadectem jest warszawska Wystawa Towarzystwa Sztuk Pięknych, gdzie zawsze przybywa coś nowego. I tak, pan Gerson dał Żelisława przyjmowanego przez *Krzywoustego*, po powrocie z wyprawy na Pomorze. Rysunek jak zawsze u tego artysty poprawny, lecz kolorytowi brak ciepła, a układ figur nieosobliwy. Bohater stanowiący główną postać obrazu, odwrócony tyłem do widza, jak gdyby artysta chciał popisać się ze swemi studyami heraldycznemi. Nie ma co mówić, płaszcz wojownika wzorzysto zahaftowany, że aż oczy bolą patrzeć, daje może wierną kopię ubiorów i zbroi owoczesnych, ale czy przedstawia chwilę historyczną, ruch, życie — na to jakoś trudno się zgodzić.—*Zadymka* Brandta, przedstawia podjazd kozaków w pośród zawieruchy śnieżnej, spieszący zewrzeć się z nieprzyjacielem.—Pomysł nowy, nie można przecież powiedzieć aby na nim zyskiwał utwór tego artysty—śnieg i kurzawa mroczą obraz, tracący przez to wiele na wyrazistości. — *Na odjezdnem*, obraz Chełmońskiego, należy do szczęśliwszych kreacyi, chociaż i tu jak i w dawniejszych utworach tego malarza, figury są raczej szkicowane niż rysowane, a cel wydobycia efektu z kontrastów w kolorycie, nazbyt może prześwieca.

Ładnym jest obrazek p. Kozakiewicza przedstawiający igraszki dzieci na łące; krajobraz oddany z wielką prostotą i prawdą, ozłocony promieniami wiosny,—w ekspozycyi wszakże życia, pożądanem byłoby więcej ruchu i rozmaitości. W obrazku Streitta *Ostatnia krówka*, forma nie dorównywa kompozycyi jednakże przedmiot wdzięczny, pomysłowy, zniewala do zapomnienia o usterkach techniki. Kostrzewski dał na wystawę krajobraz—robota to szkicowa ale wielce udatna. Główną figurę stanowi tu ksiądz spieszący do chorego z wiatykiem postać ta narysowana przedziwnie, ciepło, pociąga oko zatrzymujące się z zajęciem na tej akwareli. Portret damy wykonany przez Stolzmana zaleca się starannością w rysunku i kolorycie. Rumiana twarzyczka oddycha zdrowiem, i niezmąconym niczem spokojem. Do ozdób wreszcie naszej wystawy zaliczyć możemy śmiało rzeźbę dłuta p. Kucharzewskiego

tak jak brzmiał w starym włoskim języku, a stąd przez wzgląd na owe czasy nie będzie tak rażącym:

„Marino Faliero dalla bella mugier, altrui la gode e tu la mantiene“.

Na drugi dzień, kiedy ta zniewaga stała się jawną, senat nakazał śledztwo i wyznaczono znaczną summę na nagrodę dla tego kto wskaże przestępcę.

W kilka dni potem już Steno był aresztowany i stawiony przed trybunałem kryminalnym Czterdziestu.

Młody awanturnik przyznał się najzupełniej do winy i prosił tylko o złagodzenie kary przez wzgląd, że doża znieważył go strasznie w obec całej szlachty i w obec kobiety, którą kochał. Sąd mając na względzie te okoliczności, skazał go rzeczywiście bardzo lekko bo na dwa miesiące więzienia i rok wygnania. Sędziom wydała się ta kara dostateczną, ale Marino Faliero, który spodziewał się kary hańbiącej śmierci, na przestępcę, był oburzony łagodnością tego wyroku. Poprzysiągł też zemstę trybunałowi i całej szlachcie weneckiej za wyrządzoną sobie tak łagodnym wyrokiem zniewagę i czekał tylko sposobnej chwili do jej wykonania.

Chwila ta nie długo oczekiwać się dała.

(*D. c. n.*)

---

# Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

**K. Wład. Wójcickiego.**

(dalszy ciąg—patrz Nr. 27).

## VII.

Ziewonia. Treść jej. — prace literackie, album na korzyść pogorzelców. — Tytus hr. Działyński.

W końcu 1833 roku Bielowski po ułożeniu zebranych artykułów do *Ziewonii*, druk jej rozpoczął w typografii imienia Ossolińskich we Lwowie.

Na czele pomieścił: „Wyjątki z dziennika podróży po zachodniej części Galicyi.“ Seweryna Goszczyńskiego, który ją odbył z początkiem wiosny w końcu kwietnia 1832 r., skoro tylko czas wiosenny dozwolił wędrować po górskiej krainie. Zaczyna od Tarnowa a kończy na ruinach zamku w Czorsztynie, których też widok w rysunku litograficznym mamy dołączony.

Najprzeważniejszą częścią tego noworocznika są poezye: niedziwota, największe bowiem grono pracowników, stanowili młodzi w kwiecie wieku poeci. Sam główny redaktor August Bielowski, dziś jeden z pierwszych badaczy historycznych i wydawca pomnikowego dzieła w którem zgromadził najdawniejsze zabytki mogące rzucić światło na pierwotne dzieje Polski, był gorącym zwolennikiem poezyi, tak odpowiedniej jego uczuciom i polotowi myśli. Zwolennik pieśni ludowych i starodawnej poezyi słowiańskiej, przełożywszy po mistrzowsku *Wyprawę Igora na Połowców*, na tem tle wyłącznie pisał i z tego źródła czerpał swe natchnienie. Dumy i dumki, które drukował w Ziewonii są tego najlepszym dowodem. Dziś już zostały zapomniane a jednakże tych drobnych utworów nigdy nieprzestanę cenić jako najpiękniejszych pereł poezyi polskiej. Umiał on w nich myśl ludową i jego prostotę poetyczną skrystalizować, odziewając przecudną formą doskonałego języka.

Weźmy tylko pierwszy ustęp z dumy w czterech częściach jaką mamy w tym noworoczniku p. n.

### POBOJOWISKO.

Żniwo było: przez zagony,
Bujne się pokładły plony:
Weszło słońce; w rannej rosie,
Trup przy trupie, stos przy stosie
Morze pereł i korali,
Blaskiem sieje, krwią się pali.
A u nocnej stojąc czaty
Kozak, śpiące strzeże braty,
Z czoła zimne strząsa rosy,
I z suchemi gada wrzosy:
Na stos drzewa się użalił:
„Czemuś stosie się nie palił,
Gdy cię w szary świt z mozołem
Podpalałem?“
„Nie płonąłem
Bom okipiał krwią junacką,
Wpół—lechicką, wpół—kozacką.
Tutaj wróg się sparł zajadło:
Trzysta strzał zatrutych padło,
Trzy strumienie krwi pociekło,
Trzysta dusz się z ciał wywlekło:
Ale dotrwał huf niezlękły,
I Tatarów chmury pękły!

* * *

Pod borami świeci łuno,
Z boru tłumnie wojska suną,
Rosną wrzawy, wstają kurze—
W prawo, w lewo, sznur po sznurze
Płonie w słońcu; to kozaki
W cztery się rozbiegli szlaki,
W trzy husarze i pancerni,
Środkiem ćma tatarskiej czerni:
Skrzypią łyka i powrozy;
A za niemi ciągną wozy
Wiozą połów znamienity,
Plon wydarty, łup odbity.
Otoczony raźnem kołem,
Z smagłem licem, z jasnem czołem,
Przebąkując ku czeredzie,
Przodem syn kozacki jedzie:
Na nim zbroja krwią spluskana,
Pod nim dzielny rumak Chana;
Buńczuk, szabla, łuk, kindżały
I zatrute *w tule* strzały,
Toć przypadły dział zdobyczy,
Zaporoskiej wodzu Siczy!
Do twarzy ci strój hetmański,
A tatarski rumak chański,
Rży i pląsa jak pod Chanem.
Dzielnieś skończył z jego panem,
Boś go w polu miał otwartem:
Ledwo zwarł się—alić z czartem,
Łeb o ziemię zapruł łysy;
Czarną duszę wzięły bisy.
I gwar żywszy się rozczyna,
Wesół hetman, brzmi drużyna,
Wrzask przyległe bory zgłusza;
Za drużyną tabor rusza.

* *

Tam kukułka w boru kuka,
Płacze matka, syna szuka,
Łamie ręce, spiekłe wargi
Wiatrom rzewne zdają skargi,
Chodzi, z sercem krwią zabiegłem
Od poległych, ku poległym.
Niwa wielka, trup nie rzadko...
Ale-ć trudno poznać, matko!
Swego syna, bo nie czuli
Goście, młodą twarz popsuli,
Ze łba oczy mu wydarli,
Czoło zgryźli, mozg wyżarli...

---

z marmuru kararyjskiego przedstawiającą *Rzymiankę*, wykonaną z talentem nieposполitym. Zamykam pobieżny ten przegląd utworów naszej sztuki, wiadomością o najnowszym obrazie Matejki: *Synowie Jagielly*, pomieszczonym na wystawie Krakowskiej.

Wypada mi podzielić się z czytelnikiem niektóremi szczegółami dotyczącemi nieszczęśliwej podróży powietrznej przez panów Sivel Croce-Spineli i Tissandier odbytej. Wiadomo że ci odważni aeronauci, wzniósłszy się balonem do wysokości sięgającej może 10 lub 11000 metrów stracili przytomność. Sivelowi i Croce-Spinelli'emu jak donoszą gazety pękły płuca w tak rzadkiej atmosferze — twarze ich zczerniały a krew rzuciła się przez nozdrza i usta. Jeden tylko Tissandier, redaktor paryskiego dziennika naukowego *Natura*, uniknął śmierci. Obecnie przystąpiono do rewizyi barometrów i przekonano się, że balon w rzeczy samej przekroczył wysokość 8,500 metrów. W Paryżu zbierają składki dla rodzin pozostałych po tych męczennikach nauki. Tragiczny ich skon nie zniechęcił jednak do odbywania podobnych wypraw. Zaledwie złożono ciała ofiar w grobie, a już pp. Duruof, Fonvielle i Mariotte korespondent angielskiego *Times'a*, przygotowali się do nowej wycieczki w szlaki powietrzne, również w celach naukowych. Cześć ludziom poświęcającym się dla wiedzy.

Powiadają, że założoną będzie w Warszawie wyższa szkoła handlowa, kosztem bankiera Kronenberga—powiadają, że w końcu Lipca stanie gmach szpitalny dla dzieci. Słychać też o pozyskanej koncesyi na budowę nowych kolei żelaznych w Cesarstwie, jakoto Doneckiej, Sumskiej, Baskunczakskiej, Briansko-Homelskiej, Bakińskiej (od Tyflisu do Baku). W królestwie ma być przeprowadzoną droga żelazna od Iwangrodu przez Łazy do Dąbrowy—której długość dochodzić będzie 255 wiorst. W ogóle summa projektowanych linii wynosi 3,573 wiorst.

Kaszewski przekłada słynny dramat Wilbrandta „*Arrya i Messalina*,“ a Rapacki po ukończeniu „Gwiazdziarza“ pracuje obecnie nad nowym utworem dramatycznym zatytułowanym podobno *Adam Czart*, którego treść czerpnął z dziejów krajowych.

Pogłoski o emigracyach warszawskich niedorostków, szerzą się jakoś. Chętka do awanturniczych wycieczek, przejawia się widocznie w młodem pokoleniu—przynajmniej mieliśmy trzy tego rodzaju wypadki. Jedna trójka młokosów dążyła wprost do Ameryki, pośpiesznym pociągiem—druga dotarła do Hamburga—trzecia oparła się w Aleksandrowie i... wróciła do rodzinnego gniazda, zniechęcona trudami podróży. Wszystkie te wyprawy nie udały się, gdyż dwie pierwsze pomimo śmiałej przedsiębiorczości zatrzymane zostały w drodze, dzięki wysłanym za zbiegami telegramom. Wobec tych faktów nastręcza się mi pytanie—kogo tu winić? Młodzież, czy jej opiekunów? Niestety trudno się błąkać — wychowanie dzieci wymaga u nas radykalnej reformy. Zwykle mama i papa zaprzątą się czemś innem, jak zdrową myślą zwróconą na pole pedagogiki. Czyż można tym pieszczotkom odmawiać niewinnej rozrywki w cyrku, w ogródkach teatrzykowych lub w czytaniu romansów takich naprzykładjak: *Tajemnice dworu Madryckiego* lub *Rynaldo-Rynaldini Wielki bandyta włoski*. Cóż dziwnego, że Mars i Eros rozpalają młodą wyobraźnię, zachęcając do szukania przygód, które z bolesnem rozczarowaniem kończą się rózgą, koza, a czasem tylko napomnieniem skutkującem nie więcej od grochu rzucanego na ścianę. Ale bo też jakże wymagający są ci moraliści—usiłują włożyć na słabe barki matek jakieś obowiązki, ciężkie—ba,—niepodobne do spełnienia. Od czegóż bony i guwernantki i za co im płacić tak suto? Zapewne są to racye tak usprawiedliwione, że w obec nich nie pozostaje mi nic więcej, jak złożyć pióro.

Po nad skałą, tam u góry,
Krzywo-dzioby, czarno-póry
Kruk, wydarty braci kruczej
Kęs mięsiwa w szponach włóczy,
Smaczno strawę żre godową,
Słyszy żale, kiwa głową:
„Stara matko! wróć do chaty,
Weź garść piasku, między kwiaty
Zasiej piaskiem grzędę czystą,
Skrapiaj co dzień łzą rzesistą,
Jeślić zejdzie z miękkiej skiby,
Przyjdzie syn twój bez—ochyby...

Wszystkie utwory poetyczne, które pomieścił w swej *Ziewonii* Bielowski, odznaczają się podobną formą artystyczną, językiem szczególnej siły i wdzięku, zarówno jak i przekłady pieśni serbskich, które drukował w cztery lata później w zbiorowem pismie p. n.: *Prace literackie* (Wiedeń 1838 r.).

Jakby na zakończenie swego zawodu poetycznego w 1840 r. ogłosił *Pieśni o Henryku Pobożnym*, wziąwszy za godło z *Wyprawy Igora*: *„A więc pocznijmy pieśń, wedle osnowy zdarzeń.“*

(*d. c.*)

---

# SYN PANA MARKA.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

przez

Klemensa Junoszę.

(Dokończenie).

Zamyślił się głęboko pan Marek, sparł głowę na dłoniach i długo długo tak siedział, nareszcie kiedy się pożegnali, wsiadł w sanki i pojechał ku domowi.

Mróz był ostry, wiatr szalał po polu niosąc tumany śniegu, ale pan Marek na to nie zważał, zdawał się nie widzieć tego co się koło niego działo, utonął w marzeniach, a od czasu do czasu odzywał się półgłosem..

— A to mi marszałek, mądra głowa w kieszeń by schował prezesa!

Onufry sądził, że pan mu każe pośpieszać i pędził jak szalony.

Wieczorem długo państwo Chojnowscy rozmawiali z sobą, ale w rozmowie tej nie było już żadnych oznak burzy, widocznie że projekty pana Marka trafiły do przekonania żony, gdyż widać było na jej twarzy uśmiech zadowolenia, a pan Marek wychodząc z pokoju małżonki powiedział głośno.

— Zobaczysz kochanie, że wszystko będzie dobrze!

XI.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Dużo wody upłynęło od czasu rozmowy marszałka z panem Maciejem i panem Markiem. Bywały przez ten czas i suche lata i pory dżdżyste a nawet jednego roku na wiosnę owa niefortunna rzeczułka na której pan prezes Gzubski most stawiał, skutkiem obfitego deszczu przybrała, tak że słupy owego mostu do połowy zanurzyły się w mętnej wodzie.

Losy rzuciły mnie daleko od Wólki, od tych poczciwych państwa Marków, którzy siedząc spokojnie w swoim zaścianku, nie domyślali się nawet, że ktoś tam ich życie domowe opisze. I lepiej, że się tego niedomyślali, bo może-by z pewnem niedowierzaniem przyjmowali w swym domu jakiegoś pisarka, który wtrąca wszędzie swoje trzy grosze, rośnie gdzie go nie posiano, i trapi porządnych obywateli zbytecznem gadulstwem.

Podlasie ta błogosławiona kraina piasku i westchnień znikła dawno z przed moich oczu, a dworek w Wólce, państwo Chojnowscy i ich sąsiedzi zostały w pamięci, w której wyryły się jako obrazki śmieszne ale nie karykaturalne, bo obok drobnych śmieszności, miały wiele uczucia, szlachetności i serca, słowem posiadały wiele tych przymiotów, których napróżno nieraz chcielibyśmy szukać w ludziach uchodzących za powagi wzory i autorytety.

Dużoby się dało o tem powiedzieć ale szczupła ramka maleńkiego obrazku nie pozwalą przepełniać tła zbytecznemi akcesoryami i dlatego przechodzimy do dalszego ciągu a raczej dokończenia niniejszej gawędki.

Było to w Warszawie, kiedy świeże tchnienie wiosny, wywołuje tłumy na ulice; prowadzi je do ogrodu i na spacery. W tej porze właśnie, kiedy każdy spieszy, aby odetchnąć świeżem powietrzem, otworzyć okno... odmłodzić się ożywić i ogrzać pierwszemi promieniami słońca, które tak cenimy na wiosnę, a przed którem tak uciekamy w lecie.

Szedłem i ja za tłumem, dążąc ku Łazienkom i myśląc o owych rzeczach i głębokich i wielkich, które znamy wszyscy pod skromnem mianem niebieskich migdałów. To zamyślenie i medytacye przerwała ciężka jakaś dłoń którą poczułem na ramieniu. Obejrzałem się i ujrzałem wąsate oblicze pana Macieja z Woli Wrzeszczącej.

Uśmiechał się, a raczej śmiał szczerym naturalnym śmiechem właściwym tylko dzieciom pól i lasów. Śmiechem, który nie ma najmniejszego podobieństwa do owego przymusowego skrzywienia ust, tak powszechnego między mieszczuchami.

Ucieszyłem się serdecznie zobaczywszy przedstawiciela podlaskiego postępu i wroga konserwatyzmu. Rumiana fizyognomia tego jegomości przypomniała mi odrazu chwile spędzone w Wólce i jej okolicach i byłem bardzo rad sposobności, że mogę usłyszeć wieści o moich dawnych znajomych.

— Jakże się miewacie kochany panie Macieju, zapytałem poddając rękę uściskowi muskularnej dłoni, mogącej śmiało rywalizować z ręką Goliata, Samsona i innych tego rodzaju potentatów.

— Jak groch przy drodze, mój dobrodzieju. Przyjechałem tutaj po nasiona, a że to dziś święto i niewiele można zrobić to się człowiek włóczy po ulicach i gapi na to rojowisko ludzi i las domów.

— Zawsze jednak, rzekłem pan dobrodziej Woli w dzierżawę nie puścił, sam w niej gospodaruje.

— Sam, sam, mości dobrodzieju pracuję na swym zagonie jak mogę....

— A sąsiedzi?

— Ho! ho, mój kochany, anibyś poznał jak się wszystko zmieniło. Pan Marek poszedł ad patres. Poczciwa dusza szkoda go. Człowiek był dobry, szkoda zacny tylko mąż słaby.

— I dawnoż się to stało?

— Trzy lata mój dobrodzieju, trzy lata... Pochowaliśmy go uczciwie, jak zasłużył na własnych ramionach pół mili na cmentarz zanieśli, a ksiądz Symforyan taką mowę powiedział, żeśmy się panie jak bobry popłakali.

— Szkoda go, tymbardziej że miał tak liczną rodzinę.

— Zapewne mój dobrodzieju, to też jak jego zabrakło, wszystko zaczęło powoli iść na marne. Pani Markowa oddała rządy w ręce tego urwisa, który jak może jaki grosz wyciągnąć to wyciągnie i zaraz jedzie gdzieś niby to po żonę ale najczęściej w mieście siedzi i bawi się z godnymi towarzyszami.

— Co też pan Maciej powiada, przecież był w jakiemś wzorowem gospodarstwie, miał się kształcić na agronoma.

— Pluń pan na to wszystko, rzekł z gniewem pan Maciej, gdzie tylko był zewsząd uciekł, wszędzie bąki zbijał nic nie robił—a wybornie mu widać na zdrowie ta próżniaczka służyła bo zmężniał a wąsiska mu jak miotły odrosły. Lubi dobrze zjeść i wypić, zapolować, w karty zagrać, ale od roboty... panie! ucieka jak dyabeł od święconej wody.

— Jakaż więc przyszłość czeka te biedne dzieci, jeżeli taki braciszek rządzi majątkiem.

— Dzieci!? to już panie nie dzieci, bo dwie dziewczyny zamąż wyszły a i chłopaki jużsporе, jeden nawet jest u mnie w Woli na praktyce, nie wiem jeszcze co z niego będzie.

— A gdzież się obecnie obraca pan Czesław?

— Jeździł niedawno w Hrubieszowskie szukać sobie żony, ten marszałek taki im sposób mądry doradził, uczepił się tego Czesław jak pijany płotu i już przez pięć lat szuka tego skarbu, ale jakoś niefortunnie kosztuje też to nie mało. Co gospodarstwo przyniesie, to owe konkury pochłoną, a Czesiowi dobrze, nic nie robi jeździ sobie po świecie, a jeżeli wróci do domu to tylko po to, żeby zabrać pieniędze i dalej na poszukiwania wyjechać.

— Smutne to historye...

— Smutne i bardzo smutne, mój panie, ale to dopiero początek, czekaj pan codalej będzie...

I zamyślił się głęboko pan Maciej, stracił humor i nawet parę kieliszków węgrzyna nie mogło mu zwykłej wesołości przywrócić.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Kto z Was nie zna pana Marka pani Markowej i Czesia, kto nie zna tych prezesów, marszałków i sędziów, kto z was nie zetknął się z tą klasą ziemian właścicieli, lub dzierżawców średnich majątków? Nie znaliście pana Marka i Wólki, to z pewnością znaliście pana Michała, Jana, Jakuba lub innego. Każdy z nich prawie jest ojcem licznej rodziny, każdy buduje świetną przyszłość dla syna ale budowa ta wali się i upada, bo nie jest postawioną umiejętnie bo się lepi naprędce, bez ładu, bez planu bez systemu; upada... bo upaść musi gdyż brak jej fundamentów, brak umiejętnej dłoni którąby umiała z bogatego materyału skorzystać i gmach zeń potężny wybudować.

Dlaczego tak jest i czem się to dzieje, niech tłómaczą badacze ustroju ludzkości, niech analizują te przyczyny i wynajdują środki, aby im zapobiedz. Że zaś się tak dzieje o tem wie każdy, kto miał zetknięcie z tą poczciwą lecz krótkowidzącą klasą ludzi, która z łona swego wydała pana Marka i jemu podobnych ojców.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Ze smutkiem wyczytałem w gazecie niemiłe obwieszczenie o subhastacyi Wólki, tego rodzimego gniazda Chojnowskich. Kiedy rozmyślałem nad smutną przyszłością poczciwej pani Markowej, drzwi cukierni otworzyły się zamaszyście i wszedł mężczyzna słusznego wzrostu i zamaszystej miny.

Był to niedoszły przemysłowiec, kupiec i agronom, obecnie zaś trudnił się nie zaszczytnym przemysłem *„pośredniczenia w interesach.“*

Nie wiem czy znacie ten nowy rodzaj przemysłowców, który w latach ostatnich coraz liczniej jest reprezentowany. Utracysze, zbankrutowani przez własne niedołęztwo paniczyki nie mając już sposobu do życia, straciwszy wszystko a nawet i groszowy kredyt w sklepiku, rzucają się nareszcie na tę ostatnią deskę i „pośredniczą w interesach.“ Wszystko to jedno dla nich, czy interes zły lub dobry; korzystny lub niekorzystny, czysty czy nieczysty

wreszcie, im idzie tylko o jedno o porękawiczne.

Ów mężczyzna należał właśnie do tego rodzaju przemysłowców i jego życie rzuciło w wir miasta jak rzeka niosąca męty w głębie oceanu. Instynkt zachowawczy pchnął go tutaj a zatrudnienie „pośredniczącego" przypadło mu do smaku.

Był to syn pana Marka.

KONIEC.

## Z DOMU I DLA DOMU.[1]

— **Przechowywanie masła.** Z powodu zupełnego zaniedbania u nas przemysłu nabiałowego, niejedna z czytelniczek naszych, jako gospodyni domu, w trudnem znajduje się położeniu, będąc pozbawioną świeżego masła. W zachodniej Europie, gdzie przemysł ten wysoko jest rozwinięty, a zwłaszcza w Anglii, gdzie wyroby nabiału są przedmiotem rozległych stosunków, mają rozliczne sposoby przechowywania masła przez długi czas w stanie świeżym. Między innemi w Szkocyi w ten sposób postępują: dwa funty soli kuchennej, jeden funt saletry i tyleż cukru dobrze sproszkować, wymięszać starannie i zachować do użytku w suchem miejscu w naczyniu szczelnie zamkniętem.

Jedna uncya tej mięszaniny dodaje się do funta świeżego masła i starannie z niem mięsza. Zaprawione w ten sposób masło, zatrzymuje swą barwę i po dłuższym czasie nie traci jeszcze słodkawego smaku, właściwego masłu świeżemu. Przyrządzone jednakże w ten sposób masło, nie prędzej może być użytem jak dopiero po upływie kilku tygodniu.

*
* *

— **Środek przeciwko molom.** Pragnąc zabezpieczyć suknie, futra i różne materye wełniane od molów bierze się:

Trocin z łuczywa czyli smolnej sośniny funtów 15; kwiatu lawendy funt. 2; jak najdrobniej ukrajanych pęcherzyków po piżmie (vassica ex moscho) sztuk 3; kamfory sproszkowanej łutów 4; olejku lawendowego łut. 2; olejku rozmarynowego łut. 4; olejku tymiankowego łut. 3; olejku macierzanki łut. 3. Wymięszawszy wszystko starannie, ponapełniać tą mięszaniną woreczki przygotowane z gęstego płótna, a dla nadania im większej ścisłości wysmarować je wewnątrz mydłem i pozaszywać.

Chcąc zabezpieczyć jakiekolwiek przedmioty od tych szkodników, należy je wprzód przewietrzyć i wytrzepać, potem ściśle ułożyć w kufrze przekładając powyż przygotowanemi woreczkami, od których mole nietylko zupełnie z wszelkiemi zarodkami wyginą, ale obok tego suknie nabędą miłej aromatycznej woni.

*
* *

— **Sachets odorans.** Dla nadania miłej woni sukniom, bieliznie i innym akcesoryom damskiej toalety przechowywanym w pudłach, komodach, kufrach i t. p. zamkniętych miejscach używa się rozmaitych pachnideł. Najwięcej używanemi we Francyi są *saszetki* przyrządzone w sposób następujący: Suszonych liści kwiatu róży łut. 2; obranego kwiatu rezedy łut. 3; obranego kwiatu lawendy łut. 2; suszonych liści kwiatu jaśminu łut 1.

Wszystkie te kwiaty zbierają się rano, jak tylko rosa obeschnie, suszą w cieniu, cokolwiek rozdrabniają, byle nie bardzo drobno, gdyż utarte na proszek, prędzej tracą woń sobie właściwą, a po ich wymięszaniu starannem, dodaje się do nich proszku wyrobionego z następnych przedmiotów:

Goździków korzennych drachm 2; kwiatu muszkatowego dr. 1; wanilii dr. 2; piżma granów 8; korzenia fiałkowego (Iris florent.) drachmę 1.

Wymięszawszy to wszystko jak najstaranniej, wsypuje się w woreczki z jak najgęstszej kitajki, lub co jeszcze lepiej, cienkiej skóreczki, które gdy będą starannie zaszyte, mogą służyć lat kilka do nadawania miłego zapachu wszelkim ubiorom damskim.

*
* *

— **Słodka śmietanka.** Pragnąc zabezpieczyć słodką śmietankę lub mleko od zwarzenia, mając przystawić je do ognia, trzeba do garczka mleka lub śmietanki, wpuścić cztery krople *oleum tartari* i dobrze wymięszawszy gotować, a nigdy się nie zwarzy. Gdyby nawet kwasek cokolwiek czuć się dawał, tym sposobem zostanie strąconym.

*
* *

— **Odświeżanie aksamitu.** Najstrojniejsze, najtrwalsze, a tem samem stosunkowo najtańsze dla dam są ubiory aksamitne, z tych przeto powodów najwięcej używają ich Paryżanki. U nas niewiele one mają zastosowania z powodu, iż aksamit w użyciu łatwo się zagniata, co mu nadaje niepotrzebny połysk, tworząc na nim jakby plamy.

Paryżanki w tych wypadkach tak sobie postępują: czystą miedzianą blachę kładą na fajerce z rozżarzonemi węglami, a gdy się do tego stopnia rozgrzeje, iż mokrym palcem dotknięta zasyczy, pokrywają takową czystą mokrą serwetą, do której natychmiast przyłożywszy aksamit stroną odwrotną, podnosi się na nim zagnieciony włos równą miękką szczotką, podsuwając go do góry, czyli pociągając szczotką pod włos. Para wychodząca z mokrej serwety, położonej na rozgrzanej blasze, ułatwia tę czynność.

Tak łatwym sposobem aksamity Paryżanek są wiecznie świeże, a jako łączące w sobie trwałość obok elegancyi, mają nader rozległe zastosowanie, warto zatem, aby i nasze czytelniczki chciały środek ten wypróbować, idąc w tej mierze za przykładem sióstr swoich z nad Sekwany.

*
* *

— **Sztuczne zmiany róży.** Rozkwitła róża trzymana długo nad dymem palącej się siarki, z różowej, zamieni się w białą, wstawiona w zimną wodę, odzyska pierwotną swą barwę.

Róża umaczana w wodzie nasyconej sodą, nabierze pięknego szmaragdowego koloru.

Do czterech części wody dodawszy jednę kwasu siarczanego i zmaczawszy w tym płynie różę, nabierze karmazynowej barwy. Obu powyższych sposobów użyć można do zdobienia róż w rozmaite odmiany, jak np. dodawania im brzegów, centków i t. p.

*
* *

— **Wywabianie plam rdzawych.** Plamy na bieliznie, pochodzące od rdzy, są albo czarniawe, albo czerwone.

Czarniawe wyniszczają się utartem na proszek weinsztajnem, posypuje się nim plamę, a zwilgociwszy nieco i zostawiwszy tak przez czas niejaki, potem dobrze wytrzeć i wypłókać.

Czerwone zaś, wywabiają się za pomocą kwasu szczawiowego lub soli szczawikowej; lecz tej ostatniej działanie jest powolniejsze.

## ROZMAITOŚCI.

— W Paryżu umarł **Michał Lewy** księgarz, naczelnik firmy: *Michel Lewy frères*, znanej ze swojej czynności wydawniczej. Pozostawił milionowy majątek do którego doszedł w ciągu lat trzydziestu niezmordowaną pracą i szczęśliwemi operacyami wydawniczemi. Kiedy zawód swój rozpoczynał był tak biednym, że pierwszy fundusz zakładowy otrzymał od słynnej artystki dramatycznej Racheli.

— Doktór **Artur Wołyński** wynalazł w archiwum florenckiem bardzo ważne i ciekawe materyały do historyi polskiej Są to relacye posłów i akta z czasów gdy Medyceusze starali się o koronę polską.

— W krakowskiej **akademii umiejętności** otworzono w tych czasach nową sekcyą filologiczno-literacką, której głównem zadaniem ma być wydawnictwo dawnych zabytków literatury polskiej, pozostających dotąd w rękopisach, oraz rozpatrywanie krytyczne dawniej już wydanych przekładów klasyków greckich i rzymskich. Przewodniczącym w tej nowej sekcyi jest Dr. Józef Szujski, znany historyk i poeta a zarazem sekretarz akademii.

— *Gazeta Kielecka* donosi, że **kolej żelazna z Olkusza do Dąbrowy** została ostatecznie zatwierdzoną przez rząd i że w skutek tego roboty ziemne około tej nowej a wielce pożytecznej dla kraju linii, rozpoczną się jeszcze w ciągu bieżącego lata.

— *Breslauer Zeitung* zawiadamia, że w Petersburgu ma zacząć wychodzić **gazeta niemiecka** w wielkich rozmiarach p. n. *„St. Petersburger Herald."*

— **Teatr polski w Poznaniu**, o którego ukończeniu podaliśmy już w swoim czasie wiadomość, wypuszczony został od dnia 1 października r. b. dwu artystom dramatycznym znanym na scenie lwowskiej i krakowskiej t. j. panom K. Doroszyńskiemu i Wł. Terenkoczemu.

— **W Pompei** odkryto świeżo dobrze zachowany obraz przedstawiający Laokona według opisu Wirgiliusza. Obraz ten mający stanowić jeden z najważniejszych zabytków sztuki malarskiej zostanie prawdopodobnie umieszczony w muzeum.

— W Londynie zmarł w tych czasach wysoko ceniony **rzeźbiarz angielski Foley**, członek londyńskiej akademii sztuk pięknych, w 57 roku życia. Do najznakomitszych dzieł jego należą: *Śmierć Abla, Król Lear i Kordelia, Wenus ocalająca Eneasza, Niewinność* i inne.

[1] Od wielu z naszych prenumeratorek, zwłaszcza zamieszkałych na prowincyi, odbierany listy, w których Szanowne korespondentki zwracają naszę uwagę na tę okoliczność, iż przyrzekliśmy w prospekcie dawać *od czasu do czasu* przepisy domowe i gospodarskie, a dotąd nie spełniliśmy jeszcze naszego przyrzeczenia. Czyniąc zadosyć tym najzupełniej słusznym wymaganiom naszych gospodyń, wprowadzamy do łamów Ogniska dział dotychczas nie wypełniony i odtąd pod nazwą: *Z domu i dla domu* podawać będziemy przepisy i rady gospodarskie, zaczerpnięte z doświadczenia lub sprawdzone w praktyce. Pragnąc jednak, aby dział ten odpowiedział w zupełności swemu założeniu, i zawierał te rady i przepisy, jakie Paniom naszym w ich gospodarstwie domowem mogą być w danej chwili najpożyteczniejszemi, czujemy się w obowiązku prosić łaskawe na nas gospodynie, aby wiadomościami, sekretami i radami wypróbowanemi przez siebie w praktyce, dzielić się z nami raczyły. Tym jedynie sposobem, rubryka którą wprowadzamy, zdoła odpowiedzieć swemu przeznaczeniu, a z wielu pożytecznych i sprawdzonych rad i środków, znanych dziś zaledwie w pewnem szczupłem kółku rodzinnem, będzie mógł skorzystać ogół chętnych a mniej doświadczonych gospodyń.

*(Przypisek Redakcyi).*



Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57. Дозволено Цензурою, Варшава 1 (13) Мая 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

# PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 32).

— Drogi ojcze, uczucia pana Chrome, są uczuciami cygana. Jeżeli niepewne nad zapewnione przekłada to chyba dlatego, że jak gracz lubi silne wzruszenia...

Przechadzający się przestał chodzić.

— Cygana, doprawdy! powiedział artysta rozdrażniony. Co to za śmieszne i niestosowne wyrażenie. Spodziewam się Julciu, że nigdy go więcej z twoich ust nie usłyszę;.. Czy się nie doczekamy tej herbaty?

— Zadzwonię drugi raz, rzekła młoda osoba łagodnie.

Debenham usłyszał odgłos dzwonka w kuchni i widział jak cień przesunął się za firanką. Wiedział że się nazywała Julią, że miała piękne imię i głos jeszcze piękniejszy. Pragnął teraz widzieć jej twarz. Gdyby chciała wychylić się za okno i spojrzeć na ten cudowny księżyc! Gdyby choć mógł lepiej przypatrzeć się jej cieniowi. Siedział ciągle nieruchomie pod ganeczkiem bluszczem ocienionym, rzucając czasami niespokojne spojrzenie ku rzece i obawiając się, aby powrót Arczy nie przerwał uroku tej chwili. Słyszał jak wniesiono herbatę i jak po krótkiem milczeniu artysta znów się odezwał.

— Czy nie słyszałaś co o tych dwóch młodych ludziach, którzy tu nocują? zapytał nagle.

— Nie widziałam ich od chwili kiedy szli w górę rzeki i nic o nich nie słyszałam.

— Chciałbym wiedzieć co to za jedni.

— Wyższy wygląda na gentlemana, powiedział głos kobiecy.

Lekki uśmiech zadowolonej miłości własnej poruszył usta Debenhama.

— Gdyby ich można tu zaprosić i partyjkę ułożyć. Dałbym dużo dzisiaj za parę robtów wista.

Myśli Debenhama zwróciły się do jego tłomoczka. Niestety! nie zawierał ubrania wieczorowego, ale przypomniał sobie, że miał parę czarnych kozłowych rękawiczek i czarną krawatkę w przegródce przeznaczonej na papiery.

— Czy szachy nie mogłyby ci ojcze zastąpić wista?

— Nigdy w świecie. Śmiertelnie się i tak nudzę bez pomocy szachów. Ale, Julciu, czy przypomniałaś gospodyni, żeby posłała do Monmouth po pieprz turecki i po oliwki.

— Tak, i po książki także. Już prawie wszystkie nasze przeczytaliśmy, a biblioteka pani Jones zawiera tylko *Żywoty męczenników* przez Foxa, *Postęp pielgrzyma*, przez Bunyana i *Łowienie na wędkę* przez Waltona, nie rachując książki do nabożeństwa i familijnej Biblii.

— Trzeba przyznać, że biblioteka pani Jones prawdziwy zaszczyt jej czyni. Są to trzy doskonałe książki, można je nazwać klasycznemi. Nie spodziewałem się znaleźć tak doskonałych dzieł w karczemce nad brzegiem rzeki w Monmouthshire. Podaj mi proszę cię ten tom Balzaka, trzeci na prawo, kochanko od końca półki,

— Czybyś nie wolał ojcze, żebym ci przyniosła które z klasycznych dzieł pani Jones?

— Nie, złośliwa ptaszyno, z pewnością nie. Jestem za stary na nie, w miarę jak troski życia nas przygniatają, potrzebujemy rozrywki; dla młodych pożyteczniejsze jest poważne czytanie, starzy zaś wymagają zabawniejszych książek, taka jest moja teorya. Tym sposobem jedni staną się mniej lekkomyślnemi, a ciężar życia znośniejszym będzie dla drugich... Wiesz że ta herbata jest niegodziwa. Jeżeli mamy tu zostać jeszcze miesiąc, trzeba będzie coś znośniejszego do picia sprowadzić z Londynu.

— Może druga filiżanka będzie lepsza.

— Dziękuję, nie mam ochoty próbować. Wolę wyjść na chwilę i wypalić cygaro.

Te słowa były hasłem odwrotu dla Debenhama. Kiedy p. Alleyne otwierał drwi od salonu, Temple wstał po cichu, i nim tamten zapalił cygaro w kuchni i wyszedł z domu, on przechadzał się już spokojnie oblany światłem księżyca o kilkanaście kroków od domu.

## ROZDZIAŁ X.

### Pan Alleyne.

Temple Debenham nie był towarzyskiego usposobienia, ułożenie miał chłodne, nie lubił nieznajomych i nieznajomi w ogóle go nie lubili, jednak w ciągu kilku minut zaznajomił się z panem Alleyne. Przechodząc obok siebie ukłonili się wzajemnie, za drugim razem wymienili kilka słów o piękności nocy, potem zatrzymali się, aby dalej mówić i rzecz była skończona. Kiedy Arczy przyciągnięty dźwiękiem ich głosów, opuścił swe stanowisko na wybrzeżu, zastał swego przyjaciela toczącego żywą rozmowę z panem Alleyne.

O ile można było dostrzedz przy niepewnem świetle księżyca, p. Alleyne mógł mieć pięćdziesiąt lat, był niskim, trochę otyłym rumianym i w ogóle przyjemną miał powierzchowność. Włosy miał prawie białe, ale gęste i kędzierzawe; często się uśmiechał i pokazywał prześliczne zęby; rękę miał bardzo małą i ładną, pierścionek z brylantem błyszczał na małym palcu. Ubranie jego było przyzwoite, ale nie znać w niem było zbytniego starania. Nikt by go nie był wziął za artystę, nie nosił ani długich włosów, ani wąsów, ani aksamitnych surdutów, ani kapelusza o szerokich skrzydłach. Wyglądał na człowieka dobrze wychowanego, przyjemnego, łatwego i dbającego o wygodę we wszystkiem.

— Nudne miejsce mówił, gdy Arczy się przybliżył, nieznośne miejsce. Od trzech tygodni się tu znajduję, i czuję jak codzień tracę coś z przywilejów człowieczeństwa. Za drugie trzy tygodnie stanę się podobnym do dzikich ludzi, do czworonożnych istot, będę trawę zajadał i przeżuwał. Coby to było, gdyby trzeba całe życie w takiej pustyni przepędzić.

— Okolica jest jednak śliczna, powiedział Debenham, z uśmiechem.

— Ale życie okropne. Wierz mi pan, najwięcej malownicze miejsce dużo zyskuje na dobrym hotelu.

— Więc zalety *Srebrnego Pstrąga* nie potrafiły ująć pana.

P. Alleyne wzruszył ramionami. Oceniam jak należy *Srebrnego Pstrąga*, odpowiedział, i przyznaję, że może mieć zalety dla tych, którzy go zwykle nawiedzają.

— Pan sam prawie tu byłeś dotąd, zdaje mi się rzekł Arczy, pierwszy raz się odzywając.

P. Alleyne przenikliwie na niego spojrzał, jak gdyby odrazu poznał różnicę w słowach i obejściu.

— Tak, powiedział trochę chłodniej, byliśmy zupełnie sami. Jest się całkiem za światem w Chillingford. Potem zwracając się znów do Debenhama, rzekł:

— Przyjazd pana jest bezprzykładnem zdarzeniem. Nikt tu nie bywa, zdaje mi się, że nikt tu nie był od wieków. Miejsce to jest zupełnie nieznaną krainą dla świata cywilizowanego; wiedzieli o niej tylko dawni Bretonowie w koraklach i im podobni barbarzyńcy. Czy widziałeś pan już korakle na rzece?

Debenham żadnych dotąd nie widział; musiał się nawet przyznać, że nie wiedział czem był korakl.

— Jeżeli pana zdziwi moja niewiadomość, powiedział, pochodzą, muszę dodać, że byłem wychowany zagranicą, i że jestem prawie cudzoziemcem we własnym kraju.

— Mógłbyś pan całe życie przepędzić w Anglii i równie o tem nie wiedzieć, odpowiedział pan Alleyne. Korakl jest to rodzaj czółna zbudowanego z trzciny i ze skór wyprawnych, i mającego kształt żółwiej skorupy. Cezar tak je opisuje, jeżeli pan sobie przypominasz, i nauczył się ich użytku od Bretonów. Można je spotkać do dziś dnia na wallijskich rzekach, bardzo są ciekawe; mam zamiar kupić jeden i zabrać go do domu na model. Czy mogę służyć panom cygarami.

Debenham, przypominając sobie co usłyszał o swojej fajce, odmówił, ale Arczy przyjął ofiarowane cygaro i nim jeszcze je zapalił, głośno zaczął chwalić zapach.

Artysta przyjął ten hołd z zadowoleniem.

— Tak, powiedział, pochodzą prosto z Hawanny, przyjaciel mój, Portugalczyk, podzielił się niemi ze mną kilka tygodni temu. Zapach wanilii nie jest panu nieprzyjemny? Zawsze mam kawałek wanilii w mojej cygarniczce. Jest to niekosztowny zbytek. Zalecam go panom.

Tak rozmawiając, przechadzali się blisko pół godziny; p. Alleyne, główny brał udział w rozmowie, Debenham dorzucał czasami kilka słów, Arczybald Blyth puszczał z zadowoleniem kłęby dymu i przysłuchiwał się temu co drudzy mówili. Zwykle tak gadatliwy, w obecności pana Alleyne był milczącym, ale byłby chciał, żeby jego przyjaciel częściej się odzywał, i był trochę zazdrosny, że nieznajomemu całą swobodę mówienia zostawiał.

P. Alleyne mówił zresztą jak człowiek przyzwyczajony do tego, żeby jego tylko słuchano, a Debenham chętnie przyjął tę rolę słuchacza, bo artysta bardzo był zajmującym. W ciągu tych kilkudziesięciu minut, potrafił dotknąć wielu przedmiotów a niektórych z pewną ironią, zdradzającą wyższy smak i wykształcenie. Mówił z łatwością, głos miał miły; może zanadto często wprowadzał imiona osób znakomitych, może także, chociaż rzeczywiście dowcipnym był, p. Alleyne znał sztukę wypowiedzenia każdej rzeczy w sposób który jej dowcipniejszy nadawał pozór, ale w każdym razie, umiał zająć słuchaczów i był widocznie człowiekiem światowym.

Nareszcie, gdy Arczy z żalem musiał rzucić resztę wypalonego cygara, p. Alleyne zapytał ich czyby się nie napili u niego herbaty.

— Będzie to wprawdzie niegodziwy napój, powiedział — i teraz na wpół zimny, a pokój jest tylko ciupą, mającą dwanaście stóp w kwadrat. Wstyd mi nawet do niej panów zapraszać.

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie. Debenham wahał się.

— Podróżujemy piechoto — rzekł, i całą garderobę nosimy na plecach. Nie jesteśmy w stanie pokazać się paniom.... wieczór...

P. Alleyne przerwał mu skinieniem ręki.

— Żyjąc tak jak tu żyjemy, po za granicami cywilizacyi, powiedział uśmiechając się, zapomnieliśmy prawie, że bluza płócienna i grube trzewiki nie są koniecznie wymaganemi w wyższem towarzystwie. Proszę was pa-

nowie zapomnijcie o podobnych względach i pamiętajcie tylko, że żyjemy jakby na najsmutniejszem wygnaniu. Jakaż byłaby radość Robinsona Kruzoe, gdyby nagle dwóch cywilizowanych nieznajomych, nawiedziło go wieczorem na herbatę.

To mówiąc wszedł do domu, i młodzi nasi znajomi poszli za nim.

Temple Debenham zawcześnie spotkał się z twardą rzeczywistością życia, aby zachować nieśmiałość młodego wieku. Dzieckiem będąc, wielkie miał w sobie zaufanie, a dorósłszy chlubił się niezwykłą zimną krwią. Jednak w tej chwili, bez żadnego powodu, czuł jak rumieniec wystąpił na jego twarz i jak serce mocniej mu zabiło. Poco? dlaczego? nie miał czasu zadać sobie tych pytań, a tym mniej odpowiedzieć na nie.

## ROZDZIAŁ XI.

### O muzyce i sztuce.

Zastali pokoik skromnie umeblowany, ale wesoło oświetlony; herbata jeszcze stała na stoliku, i młoda osoba czytała stojąc przy kominku. Gdy weszli zamknęła książkę przed nią leżącą, i uprzejmie ich przyjęła. P. Alleyne skosztował herbatę, osądził że niepodobna jej było pić, zadzwonił o świeżą, otworzył tekę z rysunkami, i po kilku chwilach, goście jego czuli się jak u siebie.

Arczy jednak, zmartwiony swemi trzewikami o grubych podeszwach, siedział na brzeżku stołka, milczący i nieśmiały, wzdychając za haftowanemi koszulami i kamizelkami zostawionemi w Londynie.

Debenham, zdawał się być całkowice zatopionym w oglądanych rysunkach, a w rzeczy samej widział tylko pannę Alleynę.

Nigdy równie ładnej i miłej istoty nie ujrzał jeszcze; nieśmiał na nią patrzeć, a nie mógł oczu od niej oderwać. Była drobną, szczupłą ale wszystkie jej kształty były w doskonałej proporcyi z jej wzrostem, miała małą rączkę, małą nóżkę, najzgrabniejszą figurę, i najśliczniejsze usta jakie można było wymarzyć. Włosy jej były ciemne, oczy czarne, pełne wyrazu; płeć miała śniadą, ale gładką, świeżą, przezroczystą i prawdziwie olśniewającą kiedy ją rumieniec ożywił. Największy wszakże z jej wdzięków nie polegał na blasku jej oczów, na piękności cery, na zgrabnych ruchach, ale na uśmiechu prawdziwie czarodziejskim. Gdy była spokojną twarz jej miała wyraz pogodny, prawie melancholiczny, ale ten uśmiech ją przemieniał, oświecał, okrywał jakby jasnym promieniem słońca. Debenham go ujrzał pierwszy raz, kiedy już od pół godziny był w jej towarzystwie; wywołał go jeden ze szkiców jej ojca.

Wyjąwszy z teki rysunek, który przedstawia rzękę o płaskich i niskich wybrzeżach, wysadzanych rzędem wierzb i czółno stojące wśród wysokich trzcin, p. Alleyne pokazał jej go, mówiąc:

— Julio, czy przypominasz sobie byka?

Dotąd siedziała, prawie milcząc a i na pół od nich odwrócona, oparłszy głowę na ręku ale w jednej chwili, wesoły uśmiech rozjaśnił wszystkie jej rysy.

— Czybym mogła kiedy zapomnieć byka i ciebie, papo — odpowiedziała, i tragiczny koniec parasola.

P. Alleyne także się zaczął śmiać i opowiedział gościom, jak był napastowany przez byka, kiedy spokojnie rysował własne czółno z drugiej strony rzeki, i jak nie mogąc się dostać do czółna, i nieumiejąc pływać, potrafił się wdrapać na drzewo, kiedy byk toczył bój zażarty z jego parasolem.

— Nigdy sobie nie mogę uprzytomnić w pamięci tej awantury, bez wywołania równocześnie uwielbienia dla mojej zwinności— rzekł.

— Gdybyś jeszcze był mógł widzieć sam siebie, ojcze jak ja cię widziałam kiedy czółnem po ciebie przypłynęłam, powiedziała panna Alleyne—siedzącego na drzewie, jakby jaki ptak olbrzymi i dumającego nad szczątkami parasola!...

— Gdybyś była mogła widzieć byka, kochanie, jak spoglądał na nieszczęśliwy parasol, jak obchodził go, i brał na rogi, jak go wyrzucał w powietrze i potem deptał nogami, z okropnym rykiem.... Był to jednak szlachetny byk; umiał uszanować sztuki piękne i nie tknął się mego rysunku.

— I to się tu niedawno stało? — zapytał Debenham, żeby coś powiedzieć.

— O nie, było to w jednem miejscu w Hertfordshire, gdzie przepędziliśmy kilka dni na wiosnę. Czy znasz pan okolice Berkhampstead?

Młody człowiek zaprzeczył skinieniem głowy.

— Jestem jakby cudzoziemcem w Anglii— odpowiedział. Byłem dzieckiem, kiedy ją opuściłem, i powróciłem dopiero półtora roku temu.

— Dużo musiałeś pan podróżować?

— Nie; mieszkaliśmy ciągle w Zollenstrasse. Tam się wychowałem.

Pan Alleyne słyszał o Zollenstrasse, przejeżdżał kiedyś o kilka mil od granicy, znał kogoś który później został profesorem w akademii. To nadało swobodniejszą cechę rozmowie i kiedy p. Alleyne podług swego zwyczaju, obsypał go różnemi pytaniami, Debenham stał się niezwyczajnie otwartym, wymienił swe nazwisko i zajęcie, i nawet w kilku zdaniach skreślił obraz sarkastyczny dworu Wielko-Książęcego i życia tej małej stoliczki, mającej o sobie tak dobre wyobrażenie. Opisał przyjęcie dworskie w zamku: praczki odnoszące damom spódnice z falbanami, zawieszone na długich tykach, jak gdyby olbrzymie ryby świeżo złowione; opisał wielkiego szambelana w nankinowem rannem ubraniu, spieszącego do domu od fryzyera, z gołą głową, z obawy aby nie poruszyć pudru na włosach; dalej sześciu wysokich grenadyerów wybranych z pomiędzy książęcej straży i przekształconych w tym dniu na lokai, żeby dodać blasku nie bardzo okazałej służbie dworskiej; starą żółtą karetę z Kenig's Hofu, którą całe Zollenstrasse radeby razem nająć i którą przez całe poobiedzie można było spotkać w tej samej chwili w różnych częściach miasta; mówił o panach przychodzących piechoto obcierających z kurzu swe lakierowane trzewiki i strzepujących mankiety w sieni pałacowej, dalej opisał Baronową Von Schlitte i Baronową Von Pfeffer kłócące się o pierwszeństwo w przedpokoju; Wielkiego Księcia zewiającego pod osłoną trójgraniastego z piórami kapelusza, Wielką Księżnę łającą księżniczki za to, że się śmiały; kamerjunkrów i oficerów gwardyi żartujących po cichu; kurz, zamięszanie, niepokój ogarniające całe miasto od siódmej z rana do piątej po południu i radość wszystkich mającemn w tem udział, kiedy odgłos armat na starym zamku zwiastował, że drzwi pałacu miały być zamknięte, i przyjęcie skończone.

To wszystko opowiedział, i opowiedział dowcipnie, a panna Alleyne, chociaż zawsze siedziała na boku, słuchała i uśmiechała się; a on za każdym razem znajdował jej uśmiech czarowniejszym i radby był na nowo go wywołać.

Później rozmowa weszła na poważniejsze tory. Z Zollenstrasse przeszli do Monachium i mówili o muzyce i o poezyi w Niemczech, o sławnych czasach pobytu Goethego w Wejmarze, o Wagnerze i o królu Ludwiku Bawarskim.

— Co do Karola Augusta—rzekł p. Alleyne, tak był zaćmiony przez Goethego, że świat nie oddał mu sprawiedliwości, jaka mu się należała. Byłto nieledwie wielki człowiek.

— Mojem zdaniem trzeba być istotnie wielkim, aby w ten sposób umieć ocenić i uszanować wielkość w innych — rzekła panna Alleyne.

— Był z pewnością szlachetnym człowiekiem,—powiedział Debenham, bo Goethe ze swemi olimpijskiemi tonami, swoją napuszonością i swym egoizmem bez granic nie musiał być łatwym w pożyciu. Być przyjacielem takiego człowieka i zachować tę przyjaźń nienaruszoną, nie ubliżając swej godności, przez pięćdziesiąt pięć lat, jest oznaką wielkiej wyrozumiałości.

— Była to też nierówna przyjaźń, zauważyła panna Alleyne.

— A nierówna przyjaźń jest tak najeżoną trudnościami i zawadami, jak nierówne małżeństwo, powiedział p. Alleyne tonem poważnym.

— Była ona nierówną w sposób szczególnie przykry dla księcia, — rzekł Debenham; stanowisko było po jego stronie, a sława po stronie Goethego.

— Książe musiał jednak być zdolnym człowiekiem,—powiedziała panna Alleyne.

— Książe był bardzo zdolnym człowiekiem, —odrzekł jej ojciec, ale był zdolnym, jako mąż stanu i jako reformator; pole jego działania było ściśnione i świat nie mógł należycie go ocenić. Musiał to czuć i cierpieć nad tem, bo nie jest to miło być zaćmionym, nawet przez przyjaciół, których najwięcej kochamy.

— Czy p. Blyth także pobierał nauki w Zollenstrasse?—zapytała Julia, myśląc może, iż biedny Arczy znajdował się właśnie w podobnem niekorzystnem położeniu względem przyjaciela i chcąc go wciągnąć do rozmowy.

Arczy zarumienił się po uszy.

— Ja?—wyjąkał. O nie, byłem wychowany w Londynie. Ale byłem w Niemczech, nad Renem...

— Jedynem miejscem, które teraz szczególnie pragnę widzieć jest Monachium—rzekł artysta. Znam doskonale Wiedeń i Drezno, ale skarbów Pinakoteki jeszcze nie widziałem i niechciałbym umrzeć, nie ujrzawszy Oczyszczenia Najświętszej Panny, Tycyana.

—A ja bym wszystko oddała, żeby usłyszeć Tannhaüsera, i widzieć Wagnera, — zawołała jego córka.

— P. Debenham miał niezawodnie to podwójne szczęście i może nas w tym względzie oświecić.

Ale Debenham nigdy nie był na przedstawieniu Tannhaüsera. Nietylko jednak widział Wagnera, ale i jego oryginalnego przyjaciela i protektora, króla Ludwika Bawarskiego, kiedy obydwa byli na wielkich uroczystościach muzycznych w Zollenstrasse.

— Orkiestra akademii wykonała wtedy— powiedział, symfonią Wagnera, i nigdy nie brałem udziału w utworze równie dziwnym, zagmatwanym, niejasnym. Czasem jednak urywki ślicznej i świeżej melodyi ukazywały się w najmniej spodziewanem miejscu; zaledwie się dojrzeć dały, tak były zagrzebane wśród partycyi, jak brylanty w bryle kwarcu, i tylko znawca mógł je odkryć. Przypominam sobie cztery takty, nie więcej, napisane na obój; nieznam nic równie delikatnego, nadpowietrznego i śpiewnego. Przez cały tydzień brzmiały mi w uszach; ale były zagłuszone hukiem innych instrumentów, i nikt zapewne pomiędzy słuchaczami, oprócz jednego może króla Ludwika nie domyślił się ich istnienia.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Апрѣля (12 Мая) 1875 г.